

TYGODNIK ILLUSTROWANY



KURD

Z Salonu Aleksandra Krywulta.

TADEUSZ AJDUKIEWICZ

Witkiewicz o Kossaku.

3)

Witkiewicz, który, o ile wiadomo, jest przeciwnikiem szkół malar- skich, podnosi to, że Kossak nie pojechał ani do Rzymu, ani do Monachium, ani do Paryża, tylko na Ukrainę, i nauczył się malować. Oto co powiedział Dante Rosseti Burne-Jonesowi: „Niema nau- ki niezależnej od duszy danego artysty—ma- larz potrzebuje tylko tego się uczyć, co służy bezpośrednio do wypowiedzenia stanu jego duszy. Przecież pan rozpoznaje kształty i barwy.“

Po kilku latach jednak, po pobycie w Petersburgu, zjechał Kossak do Warszawy, gdzie go blizki łączył stosunek z Fr. Ko- strzewskim, ze ś. p. Józefem Kenigiem, z Ger- sonem, z Pillatim, z całą ówczesną „młodą Polską“, którą gromadził koło siebie p. Mar- cin Olszyński, nie artysta, ani pisarz, ale człowiek niezmiernie sztuce polskiej oddany.

Tam bywało bardzo różnie. Nikt nie pomagał, ale za to wszyscy dławili. Kossak zaczął kolorować fotografie z zakładu Klocha, malował trochę akwarelę, a podbijał ludzi, słynny z urody, humoru, uprzejmości i ser- decznego serca. W 1855 żeni się z panną Zofią Gałczyńską i wyjeżdża do Paryża. (Witkiewicz robi dowcipną uwagę, że podczas kiedy wszyscy artyści z całego świata ciągną do Paryża, z Paryża wyjeżdżają tacy Corot, Millet, Daubigny i inni wielcy malarze fran- cusczy). Główną siłą, która tam ciągnęła Kossaka, był Horacy Vernet. Ten powiedział Kossakowi to, co Rosseti Jonesowi: „Observer la nature et produire, voilà l'école qu'il vous faut.“ I dodał: „Du reste je descends, vous montez et vous irez loin.“ Witkiewicz mówi, że Kossak miał większy talent i bujniejszy temperament od Vernet'a, głębsze poczucie prawdy, jaśniejszą i ściślejszą obserwację. Skok w Elstere księcia Józefa, namalowany przez Kossaka, nazywa najsurowszą krytyką takiegoż obrazu Vernet'a, ponieważ Kossak, oddając możliwie najwierniej prawdę, ujawnił manifestacyjnie całą nieprawdę, jaka tkwi w dziele Vernet'a, zaczawszy od fałszy- wego przy skoku układu nóg końskich i owego ludzkiego spojrzenia, jakie koń rzuca na księcia.

Pracując z olbrzymim nakładem sił, Kossak dochodzi do potężnych rezultatów. Witkiewicz nie waha się zestawiać go, jak już wspominałem, z Meissonierem. „Meissonier—mówi—lepiej, ściślej pod względem anat- omicznym rysuje budowę ciała końskiego, mo- deluje ją prawdziwiej... jednocześnie jednak odrazu rzuci się w oczy, że Kossak ma wię- cej wspólnego z naturą pod względem różno- rodności typów i charakterów, pod względem nadzwyczajnego poczucia ruchu i subtelnych odcieni wyrazu duszy konia... Pomimo braku ściśłości w budowie, Kossak włada kształtem z siłą talentu i umiejętnością niczem nieza- chwianą i stoi na tym samym poziomie doskonałości kształtu, co Meissonier, pomimo wszystkich różnic indywidualnych.“

Nam, którzy uganiamy się za „polskimi“ Tycyanami, Homerami i Edisonami, a którzy- śmy przeważnie nigdy ani jednej kreski Meis-

sonier'a nie widzieli, nierównie więcej to na- turalnie mówi, niż uwaga gdzie indziej, że „w naszej sztuce tylko Józef Chełmoński po- trafił tak—podług Witkiewicza—wyraz życia wyteńczyć do ostatnich najwyższych jego stop- ni,“ że „obydwaj z Kossakiem olbrzymiego talentu i bezprzykładnej wszechstronności, objęli ogromny zakres życia, a z konia zro- bili w sztuce to, czego nie zrobił dotychczas nikt, ani u nas, ani gdzieindziej.“

Sposób, techniczne środki, jakimi się Kossak posługiwał, omawia Witkiewicz bar- dzo dokładnie. Unosi się nad delikatną, cienką linią szkiców, gdzie artysta jakby się bał ująć coś i zepsuć z życia, z natury. Opowiada, jak Kossak przemieniał swoje szkice w obrazy, często je psując, jak noto- wał maść końską „na łebku“, „na chrap- kach“, albo „na pyszczku“, jak „nikłe środki techniczne tak cudownie przystosowywał do zjawiska, że dawał zupełne wrażenie natury.“ Z chwilą kiedy Kossak jest zupełnie rozwi- niętym, między jego umysłem, okiem i ręką niema żadnej zapory. Nie studjuje bryły przedmiotu... jest on malarzem ruchu, zmien- ności zjawisk, niepochwytnej chwili, która ledwo dotyka naszej świadomości i tu—po- wiada Witkiewicz—dał takie rzeczy, których wagę dopiero po wynalezieniu migawkowej fotografii można było stwierdzić.

A tu niezrównana uwaga: „Żeby słowa— pisze — były zawsze właściwie używane, ta- kich właśnie malarzów, jak Kossak, w swo- ich studyach i kompozycyjnych szkicach, takich, jak Japończycy, nazywanoby *impre- syonistami*. Stosowanie tego wyrazu do tych, którzy rozciągają przed widzem całą kuchnię malarzką, całą robotę techniczną, wydzierają- ją się na pierwszy plan i poprzedzają istotę obrazu, jest zupełnym nonsensem.“

Wogóle Witkiewicz wyżej ceni szkice i studia Kossaka, niż jego obrazy, i lubi je zestawiać z genialnemi w swoim typie robo- tami Japończyków. Kossak psuł często swoje rzeczy, rysował je bowiem napróżd jako szkice, potem przenosił na kratkowany papier, przy- czem nie donosił już często tego pierwotnego, bijącego, bezpośredniego życia. I tak jednak z tem, co zostawało, choć nie doniósł „całej subtelnej prawdy i nieokiełzanego życia, możnaby jeszcze obdzielić rzesze.“

Mówiąc o Kossaku, mówi Witkiewicz bardzo szerokie rzeczy o sztuce wogóle. Hi- storya konia opowiedziana jest od tryumfów egipskich Faraonów, od fryzów greckich przez Donatella i Velasqueza, aż do Géricaulta, Klodta, Horschelta, Meissonier'a i wszyst- kich naszych koniarzy, z Chełmońskim, Maksem Gierymskim i Brandtem na czele. „Z dawniejszych—powiada—malowali konia Sypniewski, Gerson, później Ant. Piotrowski, Stan. Wolski, Masłowski, Ryszkiewicz, Ro- sen, Fałat, Owidzki, jedni samodzielnie, z bezpośrednich, własnych studyów, inni, jak Szerner, Alfred Wierusz-Kowalski, Chełmiń- ski, kompilując obrazy innych malarzów, ma- jących powodzenie na targowisku sztuki.“ („Konie wyprowadzane z cudzych stajen“—

o czem w *Sztuce i Krytyce*—w połączeniu z saneczkami i wilczkami, mające do czasu ogromne powodzenie w Ameryce, dokąd się zawieruszały całami masami, robione na ob- stalunek z zachowaniem powagi i godności sztuki).

Na szczycie stanęli Juliusz Kossak i Józef Chełmoński.

Witkiewicz zbija—z naturalną zresztą zupełnie łatwością—jakoby Kossak był tylko malarzem konia, jak również pustą legendę o „zawsze jednakowym koniu Kossaka.“ Owszem maluje on i charakteryzuje ludzi, a twarz np. generała Kruszewskiego jest mistrzowskim tego przykładem; dość zaś spojrzeć na wschodnie stadniny, bojowe ko- nie ciężkiej jazdy XVI wieku (Frezy), tatar- skie bachmaty, myśliwskie huntery, wyści- gowce, huculskie, krakowskie i góralskie koniki, aby zobaczyć, jak i do jakiego stopnia Kossak odtwarzał kształt i cha- rakter rasy konia. A owe konie Czar- nieckiego, przechodzące morze i Wisłę, owe konie ze stada podczas powodzi, koń Fredry podczas wjazdu do Konstantynopola, koń pod Napoleonem Wielkim, owa słynna biała klacz ze stadnin, Białonóżka przed Śreniawitą, koń kulejący u Lisowczyków, i taka masa innych przykładów na przykład indywidualizmu, bo- gactwa specjalnej wyobraźni Kossaka. Ustęp ten wzmiankuje z prawdziwą przyjemnością, u nas bowiem pierwszy lepszy dureń salono- wy, albo gryzipiórkowy, może „wyrobić opi- nię“, nad którą się nikt nie zastanowi, której nikt nie sprawdzi, na której sprawdzenie jedni są za mało inteligentni, drudzy za leni- wi, a fałszywa „opinia“ trwa i robi swoje, robi często krzywdę i ujmę. Ale cóż to szkodzi? Nie prawdaż?...

260 rysunków, 8 światłodruków, 6 faksy- miliów kolorowych z akwarel zdobi (oprócz por- tretów Kossaka przez Wyczółkowskiego i sa- mego autora) dzieło Witkiewicza. Ową „bez- przykładowie wszechstronną i ogromną twór- czość“ przedstawił autor wspaniale. Więc arcydzieło Kossaka, „Rok myśliwski“, illu- stracja do Pola, kartki, które „możemy za- rejestrować, jako bezwzględnie czysty i bez- względnie nasz własny dorobek i zysk cywi- lizacyjny. Tego nie nauczyliśmy się od niko- go, jest to i w treści i w formie rzecz pol- ska, przepojona istotą naszej ziemi i naszej duszy. Lecz wartość tego dzieła jest po- wszechna wskutek siły talentu, która się w niem objawiła, a która jest jednakowo czczona od bieguna do bieguna.“

Oto najwymowniejsza odpowiedź na py- tanie: „Panie, powiedzcie mi, jako ja się mam utrzymować, cobym był cieniem cywilizowa- nym, a przecie polskim chłopem ostał?“

I rzeczywiście chyba tylko Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ tak zaklął w słowo ży- cie polskie, jak tu Kossak w sztuce plastycz- nej. Cudowne, to powierzchowne, zewnętrzne życie wsi polskiej, od którego niemasz chyba piękniejszego na świecie, stanęło w całym świetle. „Ty jesteś jak zdrowie...“

DCN

KAZIMIERZ JETMAJER.

Biuletyny o stanie zdrowia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana.

Petersburg, 14 listopada. (Tel. Ag. Ros.)—*Prawit. wiestnik* ogłasza:

„Influcyja, która ukazała się w dniu 26 października (8 listopada) u Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, ze wszelkimi charakterystycznymi w tej chorobie przypadłościami, mimo obfite, powtarzające się poty, w dniu 31 października (13 listopada) przybrała charakter tyfoidalny. O przebiegu choroby będą ogłaszane codziennie biuletyny.“

Liwadya, dnia 2 b. m. (st. st.), godz. 10 rano. Najjaśniejszy Pan przepełdził dzień wczorajszy dobrze. O godz. 7 w. temperatura 39,2, puls 76. Noc Jego Cesarska Mość prze-

spiał dobrze. Rano temperatura 38,2, puls 72. Samopoczucie dobre. Głowa nie boli i zupełnie chłodna.

Lejb-chirurg *Hirsch*, lekarz *Tichonow*.

Petersburg, 16. (Tel. Ag. Ros.) Dnia 3 b. m. (st. st.), godz. 10 rano. Najjaśniejszy Pan cały dzień wczorajszy spędził zadowalająco. Wieczorem temperatura 39,1, puls 72. W nocy Jego Cesarska Mość spał dobrze. Rano temperatura 38,1, puls 68. Samopoczucie bardzo dobre.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *L. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Petersburg, 17. (Tel. Ag. Ros.) Liwadya dnia 4 b. m. (st. st.), godz. 11 rano. Najjaśniejszy Pan przepełdził dzień wczorajszy dobrze, spał w dzień około godziny. Temperatura

wieczorem 38,9, puls 72. W nocy Najjaśniejszy Pan miał sen dostatecznie dobry. Dziś zrana temperatura 38,1, puls 70, samopoczucie dobre, przebieg choroby prawidłowy.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *L. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Petersburg, 18. (Tel. Ag. Ros.) Liwadya dnia 5 b. m. (st. st.), godz. 11 rano. Wczorajszy dzień Jego Cesarska Mość przepełdził dobrze, trochę spał. Stan ogólny zadowalający. Samopoczucie dobre. Temperatura o godz. 9 wieczorem 38,7, puls 64. W nocy Najjaśniejszy Pan spał bardzo dobrze. Rano samopoczucie dobre, głowa zupełnie chłodna. O godz. 9 temperatura 37,6, puls 68.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *L. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Z tygodnia na tydzień.

Święta Katarzyna.

Na wróżby zszedł się chłopców rój

W dwudziestą życia wiosnę.

Kiedy to serce rwie się w bój,

A dusza od snów rośnie.

Czyha na młodych złota sieć,

Tęczowym blaskiem lśniąca...

Ach, gdyby orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

Temu się piosnki śpiewne śnią,

Piosenki tajemnicze:

Gotów-by płacić serca krwią

Za brzmienia ich słowice!

Z lutnią i z piosnką samotrzeć

Szedłby do ziemi końca...

Ach, gdyby, orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

A drugi marzy: „Dziewczę kwiat

Przygarnąłbym do siebie!

A co mi skarby! co mi świat

Przy takich uczuć niebie!

Gwiazdo mej doli! ty mnie wiedz,

Gdzie pierś kochaniem drżąca!...

Ach, gdyby orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

A jeszcze inny z starych ksiąg

Chce wyssać wiedzy miody:

„Poruszę—woła—świata krąg,

Do światła pchnę narody!

Znam dwa wyrazy: Módz i chcieć!

Ich moc zapory strąca!“

Ach, gdyby orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

Wróżby! och, wróżby! młody duch

Tak silnie w przyszłość wierzy!

Najpierwszych marzeń lotny puch

Jest krzepszy od puklerzy!

Nim go zwątpienia splami śnież,

W nim moc jest czarującą...

Ach, gdyby orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

„Ach! gdyby orlich skrzydeł dwa!“—

Tak marzą serca owe,

Bo życie dla nich jeszcze gra

Hejnały jutrzeńkowe!

Czatuje na nich złota sieć,

Tęczową barwą lśniąca...

Ach, gdyby orle skrzydła mieć

I lecieć wzwyż do słońca!

»K

Nasz dodatek powieściowy.

Z nowym rokiem 1901 rozpoczynamy w dodatku powieściowym przekład interesującej powieści: „Tajemniczy naszyjnik“ (Naulahka). Głównym autorem tej powieści jest Rudyard Kipling, znany naszym czytelnikom z obszernych studyów o jego działalności, drukowanych w „Tygodniku.“

Współpracownikiem Kiplinga był Ballestier, który opracował przeważnie sceny z życia amerykańskiego, stanowiące niejako prolog do akcji powieści, rozgrywającej się w Indyach Wschodnich w epoce dzisiejszej.

Obaj autorowie umieli połączyć w tym utworze zaciekwiającą intrygę z wielkim realizmem w obrazowaniu.

Dwa różne światy, europejsko-amerykański i indyjski, są tu przeciwstawione sobie w sposób nadzwyczaj plastyczny. Z jednej strony widzimy anglo-saską bezwzględność i upór zarówno w złem, jak w dobrem, z drugiej indyjską apatję, skłonność do zabobonów, w połączeniu z subtelną przewrotnością. Punktem centralnym akcji jest bogaty dwór radży, posiadającego pozory niezawisłości, ale w gruncie rzeczy podległego zupełnie Anglikom. Intrygi haremowe, zabiegi dyplomatyczne rezydenta angielskiego, przygody zuchwałego awanturnika amerykańskiego, pełna jałowego poświęcenia działalność szlachetnej feministki—wszystko to składa się na obraz drgający życiem i prawdą.

»K

W chwili bieżącej.

Idziesz, a raczej wleczesz się przez ulicę, dokucza ci bowiem noga, na której wysypały się perelki świeżo zaszczepionej ospy.

Jesteś zły; radbyś wejść w myśnię jamę, by nie być widzianym; snujesz się boki pod domami, nie chcąc spotykać znajomych, a tymczasem napada na ciebie X.

— Cóż to, ledwie się dźwigasz: pewnie ospa? przyjęła się? to dobrze. Ja właśnie idę po doktora... dziesięć osób czeka w domu—wszystkim każę zszepić.

Ledwie odszedł, jak wicher, z tyłu napada na ciebie Y.

— Mój drogi, proszę cię, powiedz mi, gdzie można dostać limty? Pędzą mię od Annasza do Kaifasza—wyczerpana—albo też każą sobie płacić bajorńskie sumy. Trzeba chyba samemu kupić cielaka.

Udzielasz wskazówek i wleczesz się dalej. Koło jednej z bram mijasz gromadkę chłopaków. Co drugi trzyma się za ramię. Któryś z nich opowiada:

— To ci ustawili nas szeregiem w szkole, i dwóch doktorów jeden od jednego końca, drugi od drugiego jak zaczęli machać scyzorykami, to aż śmigało w powietrzu...

— Nam też dziachnęli skórę prawie każdemu i kazali potem suszyć. Za to teraz frajda: majster folguje w robocie, żeby sobie nie obetrzeć strupów!—przerywa jakiś inny.

Mijas ich i postanawiasz zająć do blizkich znajomych, gdzie może przecież nie będą mówili o ospie.

Wechodzisz do pierwszego pokoju. Krzyk pięciu naraz kobiet, suszących nóżki po zastrzykniętej limfie, wstrzymuje cię na progu.

Suniesz dalej. W gabinecie kuzynka widzisz rozstawiony stolik do winta i słyszysz pięciu mężczyzn, licytujących głośno piki, kara, trefle. Wszyscy mają obnażone ręce i ponaciskaną na ramionach skórę. Kiedy niekiedy któryś z nich spogląda na ranki.

— Cóż do licha! czy to już nigdy nie wyschnie?

Partnerzy jednak licytują, trzeba więc zapomnieć o ospie i grać dalej.

Nie masz tu co robić, schodzisz więc na dół.

W bramie spotyka cię znajomy z prowincyi. Witacie się serdecznie.

— Oddawna już u nas?—pytasz.

— Ano, przyjechałem onegdaj na bal do X-ów. Wyobraź sobie, stroję się we frak, krawat, lakierki, dzwonię do mieszkania wczoraj: wtem lokaj oznajmia, że tańce odwołane, panienki bowiem mają zaszczepioną ospę, która tak się przyjęła, że aż muszą leżeć. Ze złości, zamiast



Nowa Warszawa: Ulica Ś-tej Barbary.

do hotelu, pojechałem do pierwszego lepszego doktora i kazałem sobie także wpuścić limfę, a teraz czuję, że jutro już nie będę mógł ręką ruszać.

A więc ani na ulicy, ani u znajomych, nigdzie nie można zapomnieć o tej przeklętej chorobie, której widmo grozi nam epidemią.

Jedziesz do teatru: baletnice tańczą z opaskami na ramionach z powodu świeżych szczeni.

Bierzesz gazetę do ręki: wzrok pada ci na cyfry wypadków ospy w szpitalach.

Kładziesz się do łóżka... brr... boląca noga nawet przez sen nie pozwala ci zapomnieć o niej. *civ*



Konkurs muzyczny ordynata Zamoyskiego.

„Echo Muzyczne” ogłasza konkurs muzyczny na symfonię, koncert i sonatę, zapoczątkowany przez ordynata Zamoyskiego.

Konkurs obejmuje tylko siły młode, artystów polskich, kształcących się w kraju lub za granicą. Nagród trzy: jedna za symfonię, suitę lub większy utwór na orkiestrę — rubli tysiąc. Druga za koncert na fortepian, skrzypce lub wiolonczelę z towarzyszeniem orkiestry — 500 rub.; trzecia za sonatę fortepianową ze skrzypcami lub wiolonczelą, albo też kwartet smyczkowy z fortepianem — 500 rubli. Nagrodzony utwór musi być bezwzględnie dobry. Termin nadsyłania prac 15 kwietnia r. p. Nagrodzone utwory będą wydane nakładem hr. Maurycego Zamoyskiego.

Sąd konkursowy składać się będzie z artystów i pedagogów, zaproszonych przez fundatora konkursu w porozumieniu z zarządem „Filharmonii.”

Konkurs muzyczny imienia hr. ordynata Zamoyskiego należy do wydarzeń, które z radością witamy, składając wyrazy wysokiego uznania dla ofiarodawcy.

W ogłoszonych jednak warunkach konkursu znajdujemy pewne niejasności. Tycze się to przedwstępnych motywów. Na początku bowiem czytamy:

„Współzawodnictwo ogłasza się wyłącznie dla sił młodszych, swojskich, mianowicie dla artystów polskich, kształcących się w kraju lub za granicą.”

W wyrazach podkreślonych są sprzeczności. Jeżeli konkurs przeznaczony jest dla artystów, to chyba już wykształconych, bo kto się dopiero kształci, ten jeszcze artystą nie jest.

Wprawdzie każdy artysta kształci się przez

całe życie, ale kształci się sam; dopóki jednak kształci się w szkołach pod kierunkiem innych, jest kandydatem, materiałem — niekiedy bardzo obiecującym — na artystę, ale artystą w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nazywać się nie może.

Dalej zaś czytamy:

„Lubo ofiarodawca nie stawia granicy wieku dla współzawodników, jako warunku, mające-

kursu stanąć nie mogą, gdyż obaj na tych drogach oddawna już się odznaczyli. Są także muzycy starsi, którzy mają w tekach dzieła większe, zasługujące na odznaczenie, ale dla tych także droga jest zamknięta. Kwestye te oczekują wyjaśnienia śpiesznego w interesie samego konkursu. Czyż nie byłoby właściwiej oznaczyć ściśle, do jakiego wieku mogą się artyści ubiegać o nagrodę?... *z*



Lenistwo czy ciemnota?

Panująca obecnie w Warszawie oспа naturalna odznacza się dużym procentem śmiertelności. Przyczyną tego jest, że wiele dzieci nie ma szczepionej ospy ochronnej. Takie wypadki prawie zawsze przechodzą ciężko i liczne mają komplikacje.

Na przebieg choroby wpływają ujemnie złe warunki higieniczne, niezdrowe mieszkanie, niedostateczne odżywianie i t. p. Nędzy usunąć trudno, ale szczepienie ospy jest dostępne dla najuboższych. Rzecz dziwna, ale tylokrotnie powtarzane próby bezpłatnych szczepień przez lekarzy bardzo niewielki zgromadzały zastęp pragnących z tej bądź co bądź dobroczynnej pomocy korzystać. Był czas, że znaczyły wiele wpływy felczerów i lekodziejów, bo mieli oni ze szczepienia ospy ochronnej niezły zarobek. Dziś jednak, przy istniejących instytucjach szczepienia, przy taniości szczepień, trudno sobie taką niechęć tłómaczyć czem innem prócz lenistwa lub ciemnoty. Tymczasem odzywają się głosy, że inteligentna publiczność również niechętnie ospę szczepi... Na ów dziwny fakt wpływa przesąd, że z ospą szczepi się zarazki innych chorób. Jakie jednak choroby mogą mieć cielecia, z których



ŻYD WIECZNY TUŁACZ

ALFRED NOSSIG

go krępować przyjmowanie prac konkursowych, jednak konkurs przeznaczony jest wyłącznie dla talentów młodych, nie mających możliwości odznaczenia się na drodze wydawniczej, lub koncertowej, które to drogi ma zastąpić i wynaleźć poniżej wyluszczonego organizacya ofiary.”

Jak tu pogodzić jedno z drugim? Jeżeli nie stawia się granicy wieku, to dlaczego z takim naciskiem mówi się: wyłącznie dla młodych. Jak zresztą zrozumieć tę młodość? Jeżeli zaś myśli się o talentach, nie mających możliwości odznaczenia się na drodze wydawniczej lub koncertowej, to w takim razie muzycy tacy, jak np. Henryk Melcer i Zygmunt Stojowski, chociaż młodszy, do kon-

zbiera się krowianka?

Kiedy szczepiono tak zwaną ospę humanizowaną, t. j. zbieraną z dzieci świeżo szczepionych, przesąd ów mógł być jako tako usprawiedliwiony. Dziś tego nikt nie robi — używana jest tylko krowianka, zbierana wedle prawideł i przepisów obowiązujących. Można przeto być przeświadczonej i pewnym, że z krowianką, należyście zebraną, nikt sobie niczego nie zaszczerpi prócz ospy ochronnej.

W Prusiech, gdzie szczepienie jest obowiązujące i powtarzane co siedm lat trzy razy z rzędu, wypadków ospy naturalnej niema zupełnie, a przynajmniej bardzo rzadko. U nas grasu-

ją epidemie po wsiach, a co gorsza—nawet po wielkich miastach, mających pretensję, że są ogniskami cywilizacji.

Po gminach obecnie daleko prawidłowiej prowadzi się szczepienie, niż w miastach, bo kontrola łatwiejsza, a wójtowie gminy i sołtysi pilnują ludności, aby szczepiła dzieci, bo za to są odpowiedzialni, jeśli dokładnej listy lekarzom szczepiącym nie podadzą.

Taką kontrolę należałoby zaprowadzić i po miastach. Nie będzie to przymusem osobistym, ale wprowadzeniem w życie obowiązujących przepisów publicznej ochrony zdrowia, ograniczenie rozwoju choroby ciężkiej, grożącej zawsze zepszczeniem lub kalectwem, a często utratą życia.

O tem należałoby pomyśleć, aby zabezpieczyć ludność od nieszczęścia, skoro jest do tyła leniwa, lekkomyślna i ciemna, że sama o własnem bezpieczeństwie myśleć nie umie lub nie chce. g



Ks. Arcybiskup Bilczewski.



Stolica arcybiskupia Grzegorza z Sanoka, Janów: Długosza, Zamojskiego i Tarnowskiego, Wacława Sierakowskiego i innych, osierocona przez śmierć ś. p. ks. Seweryna Morawskiego, otrzymała już arcypasterza: ks. dr. Józef Bilczewski, profesor i tegoczesny rektor Uniwersytetu lwowskiego, mianowany został rz.-kat. arcybiskupem i metropolitą lwowskim.

Jeżeli wogóle w czasach dzisiejszych niepospolitego trzeba umysłu, charakteru i serca, wielkiego taktu, wielkiego spokoju i rozumu, a dużo hartu ducha i dużo prawdziwie chrześcijańskiej miłości do kierowania rządem dusz w społecznościach kościelnych, rozliczne okoliczności sprawiają, że przymioty te w wysokim stopniu posiadać musi zwłaszcza arcybiskup we Lwowie,

gdzie stosunki są jeszcze trudniejsze, niż wogóle. Ks. Józef Bilczewski urodził się w dniu 26-ym kwietnia 1860 r. w Wilamowicach w Galicyi. W latach 1880 do 1884, po skończeniu gimnazjum w Wadowicach, uczęszczał na studia teologiczne w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, poczem w r. 1884 otrzymał święcenia kapłańskie.



Ks. Arcybiskup Bilczewski.

Przez dwa lata oddawał się zajęciom duszpasterskim, następnie udał się dla uzupełnienia studiów teologicznych do Wiednia, gdzie w r. 1886 uzyskał stopień doktora św. teologii. Przez dalsze dwa lata słuchał jeszcze wykładów teologii na uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, a przez jeden semestr w Instytucie katolickim w Paryżu. Powróciwszy do kraju, ks. Bilczewski zajął na-

przód stanowisko wikarego w Kątach, a następnie w Krakowie, gdzie równocześnie nauczał religii w gimnazjum św. Jacka. W r. 1890 habilitował się jako docent prywatny w uniwersytecie krakowskim; w styczniu r. 1891 został nadzwyczajnym, a w styczniu r. 1893 zwyczajnym profesorem specjalnej dogmatyki na uniwersytecie we Lwowie.

We Lwowie cnoty i niepospolite przymioty zwróciły ogólną uwagę na ks. Bilczewskiego i zjednały mu powszechny saacunek i sympatyę. Nie myślimy przytaczać tu długiego szeregu jego prac naukowych i dzieł, wspomnimy tylko, że dzieło: „Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników pisemnych, ikonograficznych i epigraficznych,” zjednało mu nagrodę krakowskiej Akademii umiejętności, oraz gorące uznanie także zagranicznej krytyki. Na tegorocznym kongresie chrześcijańskim archeologów w Rzymie, księdz Bilczewskiego wybrano wiceprezydentem kongresu. Jako profesor uniwersytetu, dał się ks. Bilczewski poznać zresztą nie tylko jako doskonały nauczyciel, lecz także jako znakomity wychowawca i przyjaciel młodzieży, a w czerwcu r. b. jednomyślna uchwała senatu uniwersyteckiego powołała go na zaszczytne stanowisko rektora uniwersytetu. W pamięci wszystkich żywo tkwią jeszcze prześliczne a pełne wysokiego rozumu i natchnienia słowa, które nowy dostojnik Kościoła powiedział o zadaniach nowoczesnej nauki i o zadaniach młodzieży w swej mowie inauguracyjnej, jaką w pierwszych dniach października otworzył nowy rok szkolny na uniwersytecie lwowskim.

Ks. Bilczewski nie ograniczał jednak swej działalności profesorską urzędem i kapłańskimi zajęciami, lecz brał także udział w rozlicznych dziedzinach życia, mających zwłaszcza styczność z zawodem kapłańskim, oraz należał od r. 1897 do grona galicyjskiej Rady szkolnej, gdzie także rozwinął działalność bardzo skuteczną i bardzo pożyteczną. ab

Tadeusz Ajdukiewicz.

Jednym z artystów naszych, cieszących się w szerokim świecie największem może powodzeniem i rozgłosem, jest Tadeusz Ajdukiewicz. Zowią go „malarzem królów,” portretował bowiem: cesarza Franciszka Józefa, zmarłego tragiczną śmiercią arcyksięcia Rudolfa, arcyksięcia Wilhelma, angielskiego następcę tronu Alberta Edwarda księcia Walii, księcia Meiningen, księcia Ferdynanda bułgarskiego, króla Karola rumuńskiego, jego synowca i przyszłego następcę, księcia Ferdynanda, nie licząc bardzo wielu feldmarszałków, ministrów, generałów i dostojników dworskich. A wszystkich konno—koń bowiem to jego ulubiony model, to jego specyalność główna, koń równie pełnej krwi o arystokratycznych kształtach, jak i ciężki podjezdek wiejski, koń zaprzęgowy lub kawalerski, arab, anglik, perszeron, tryz, mierzyn huculski, rumak wszelkiej pośledniejszej rasy wschodniej, a nawet biedna szkapła chłopska.

Ajdukiewicz, powoływany przez monarchów i książąt krwi, przetrzącał się z miejsca na miejsce. Przebywał w Wiedniu, Peszcie, Londynie, Paryżu, Kairze, gdzie gości teraz i gdzie stworzył ostatnie, najświetniejsze swoje obrazy, wystawione obecnie w nowym „salonie” Aleksandra Krywulła, przy zbiegu Nowego Świata i ulicy Święto-Krzyskiej.

Nikt lepiej od niego, ani nieodżałowany ś. p. Juliusz Kossak, ani Józef Brandt, nie usadził jeźdźca na siodle, nikt nie dał mu wykwiłtniejszej na koniu postawy, nikt przy wiernem uchwyceniu podobieństwa twarzy portretowanego, nie odzworował sumiennie i szczegółowiej jego umundurowania, orderów, rynsztunku, kostiumu, nikt wreszcie konia samego nie odmalował wytworniej i zarazem z większą prawdą; nie ma u nas równego sobie w odtwarzaniu uroczystych przeglądów wojsk, wielkich rewii, manewrów i scen sportowych; niewielu zaś malarzów zagranicznych w tym kierunku dorównać mu może. W tematy urzędowe, pozornie monotonne, sztywne i nienadające się do kompozycji, tchnąć umie ogień swego bujnego talentu, wprawić je w ruch żwawy, i—że się tak wyrażę—ułożyć w taki sposób, że stanowią doskonałe obrazy historyczne danej, nowoczesnej chwili. Grupuje przytem łatwo i pięknie kilku, kilkuset i kilkadziesiąt tysięcy ludzi, razem z końmi, w całość kompozycyjną, niezmiernie interesującą, dyszącą życiem, wykończoną z subtelnością niemal miniaturową, a malowaną przeciw pendzlem szerokim, soczystym—z rozmachem, pełnym werwy. Słowem, jest to malarz niepospolity, nie należący do żadnej szkoły, chociaż, z natury swojej specyalności, kosmopolityczny. Włada po mistrzowsku niezapożyczoną i od nikogo nieprzejętą techniką, przez siebie własną intui-

cją i pracą wytworzoną, osobistym duchem ogrzaną, a przystosowaną nader szczęśliwie i umiejętnie do cech i charakteru przeróżnych klimatów, krajobrazów, narodowych strojów, ras i typów, w pośród których mieszkał i mieszka dotychczas.

Urodził się w Galicyi, w Tarnopolskiem, w Witkowicach 1852 roku i tam lata dzieciństwa spędził w szlacheckim otoczeniu familijnem i w ciągłym zetknięciu się z ludem, z którym zbrał się serdecznie. Z wiosny życia wyniósł zamiłowanie do gospodarstwa wiejskiego. Gdzie tylko może, oddaje mu się z ścią wódzarskim zapachem, w godzinach wolnych od pracy artystycznej. Gospodarował pod Krakowem, w Bonarce; z ciekawością śledził uprawę ryżu na mułem użycionych nadnilowych płaszczyznach Egiptu; chodził koło roli, za pługiem, w Bułgarii, na rozległych obszarach ziemi, nabytych na własność, następnie sprzedanych; kopie, sieje i sadi, choćby tylko w ogrodach i parkach, w których chwilowo rozbija namiot swój wędrowny, by pod nim ustawić stalugi i wziąć paletę do ręki. A za paletę chwycił bardzo wcześnie. W szkole krakowskiej sztuk pięknych, jeszcze za dyrekcji Wł. Łuszczkiewicza, zablysnął uznanym odrazu talentem. Potem pojechał do Wiednia, gdzie zapisał się na akademię; z Wiednia jednak czempredzej podążył do Monachium i tam pod kierunkiem Józefa

Brandta (dla którego żywi najgorętsze uczucia wdzięczności i przyjaźni) stał się artystą cenionym, poszukiwanym, zasypywanym zamówieniami przez wielkich i możnych. Nigdy przecie świat znaczenia, władzy, dostojęństw i bogactwa, w którym obraca się nieustannie, nie zawrócił mu głowy. Obdarzany licznymi zaszczytnymi odznaczeniami i dekoracjami, suto wynagradzany za swoje dzieła, pozostał najżyczliwszym kolegą dla współuczniów, wiernym druhem dla dawnych przyjaciół, zawsze i przedewszystkiem, całą duszą, w każdym calu — artystą, nie znającym zawodowych niechęci i zawiści, nie zbrukany małostką-konkurencyjną we wszelkiem współzawodnictwie o palmę pierwszeństwa, w dążeniu do wyżyn sztuki.

Obwozi wrodzony, szlachetny i poczciwy optymizm swój po Europie, Azji i Afryce z lekkomyślną niemal dobroduszością. Wierzy w ludzi. Oddaje im przysługi nieustannie, nie przez wyrachowanie, lecz z potrzeby zanego serca, które chce się ludzi i kochać musi. Kocha zaś przedewszystkiem rodaków. To też w tryumfalnych podróżach po dalekich i obcych świata stronach, zatrzymywany nieraz lata całe na tym, lub innym dworze, tęskni do kraju rodzinnego i radby się w nim jak najśpieszniej stale osiedlić, jakkolwiek — jako malarz — znajduje niezaprzeczenie rozkosz artystyczną w zmianie widoków i otoczenia, dostarczającego mu nowych wrażeń. Odtwarzając je, marzy o chwili, w której znowu będzie mógł malować swoje góry i równiny, swoich ludzi dzisiejszych i bohaterów przeszłości, bo w tym kunsztmistrzu, zestawiającym z niesłychaną zręcznością i wprawą na szerokich płótnach malownicze bataliony, baterie i szwadrony, poruszające się wprzód niekrwawych parad militarnych, tkwi urodzony batalista, prawdziwy malarz historyczny.

Powiedział mu to niegdyś generał kawalerii Pejaczewicz, główno-komenderujący w Peszcie (rówieśnik i przyjaciel cesarza Franciszka Józefa), pozując Ajdukiewiczowi do konnego portretu: „Pan-byś powinien malować potyczki i bitwy. Widzę to w oczach pańskich, płonących ogniem wojennego zapału.“ Wizerunek starego żołnierza, o przenikliwym i przenikającym spojrzeniu, był jednym z tych, które ustaliły sławę naszego artysty, jednając mu na Węgrzech ogólne uznanie. Po sukcesie, jaki nim odniósł w najwyższych sferach, nie było magnata madziarskiego, któryby nie musiał mieć kontertektu przez niego wykonanego, albo przynajmniej małego obrazka sportowego. Wtedy także, wśród nawału pracy, wykonał dla ministra Ziemiałkowskiego nader pochlebnie przez krytykę ocenioną „Modlitwę na pustyni“, oraz dla sułtana „Karawanę dążącą do Mekki.“ Po otrzymaniu zamówienia, nadesłanego mu przez ministra dworu padyszacha ze Stambułu, udał się nad Bosfor i ze zwykłą sobie sumiennością (nim skomponował obraz, zaliczany do jego arcydzieł), studiował i szkicował z natury miejscowość, oraz liczne typy prawowiernych Osmanlisów, z których następnie stworzył i ułożył barwny pochod pobożnych pielgrzymów, jaśniejący przedziwną charakterystyką i kolorytem słonecznym, ogrzany ciepłem południowego Wschodu.

W 1896 cesarz austriacki odwiedził króla Karola w Bukareszcie. W programie uroczystości, urządzonych na przyjęcie monarszego gościa, mieścił się i wielki przegląd młodej armii rumuńskiej. Tadeusz Ajdukiewicz, wezwany przez sekretarza królewskiego listownie, przybył, aby moment ten unieśmiertnić farbami. Jak artysta — wierny ciągle swej manierze, a jednak udoskonalający ją nieustannie — wywiązał się z trudnego zadania, sprawdzić dziś możemy łatwo, obraz bowiem, dzięki uprzejmemu zezwoleniu władcy Rumunii, od trzech tygodni zdoła wystawę Krywultra w Warszawie. Malarz wybrał chwilę, w której Karol I, po

skończonych manewrach, na czele swojego sztabu, na ognistym karym rumaku, we frontowym galopie podjeżdża przed Franciszka Józefa i salutuje go po wojskowemu. W niewielkiej od niego odległości jedzie truchtem stary generał Arion, który wybitnie się odznaczył w ostatniej kampanii tureckiej, za nim zaś zbliża się stępa gromadka wyższych oficerów różnych stopni. Wszyscy są portretowani. W dali widzimy szeregi maszerującego wprost na widza pułku strzelców pieszych.



Tadeusz Ajdukiewicz.

Fot. J. Golecz

Jeszcze dalej oddziały wojsk różnych broni mienią się barwnie w pogodnym oświetleniu. Nad całością kompozycji unosi się niebo przejrzyste, lekko, gdzieś tam tylko splamione obłokami, malowane *a la prima*, z wielką śmiałością i pewnością wprawnej dłoni.

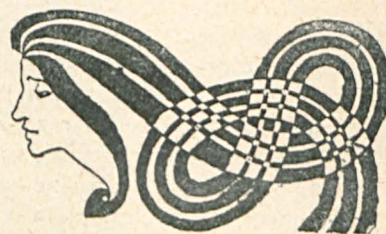
Środek obrazu stanowi zdobny w herby, otwarty powóz dworski, z czwórka gęstogrzywych karosów, w uprząży *à la Daumont*.

Siedzą w nim trzy damy dworu, portretowane; stoi zaś, ze wzrokiem zwróconym na męża, królowa-poetka, Carmen-Sylva. Śnieżne jej włosy, okalające twarz pełną wyrazu, harmonizują przedziwnie z białością koronek, dominujących w toalecie i wykonanych z zawrotną finezyą misternych szczegółów. Szal, także koronkowy, zwiesza się na zamkniętych drzewczkach landa, przerywając udatnie monotonną równoległość prostych linii wspaniałego wehikułu. W oczach królowej, ożywionych radością, błyszcza: duma i miłość. Za powozem, nieco głębiej, widać niemal w jednym rzędzie uszykowanych *attachés* wojskowych mocarstw kontynentalnych. Na lewo, pierwszą postacią, jaką spostrzegamy, jest księżna Marya, z panującego domu Koburg-Gotha, obecnie żona rumuńskiego następcy tronu, siedząca na pięknym angielskim rumaku, w amazonce, z gwiazdą na piersi i wstęgą przez ramię, w kapelusiku fantazyjnym, zaledwie dotykającym jej blond włosów. Uroczą, jak marzenie poety, jest odtworzona przez Ajdukiewicza prześlicznie. Traktowaniem główki, twarzy i biustu przypomina emaliowane, minimalnych rozmiarów portreciki z końca XVIII wieku, wysubtelniona jest bowiem nadzwyczajnie w arystokratycznym wyrazie lic, a jednak pełna czaru prostoty i szczerości. Obok niej sędziwy

cesarz siedzi lekko na dzielnym koniu i odpowiada na militarne powitanie króla takim samym powitaniem. Za nim trzej generałowie-adjutanci austriacy: Bolfras, Paar, Beck, w kapeluszach z zielonymi pióropuszcami; dalej, zupełnie uwydątniony w całej postawie książę Koburg-Gotha, ojciec księżny Maryi, na siwoszu; potem zmieszana generalicya i sztab rumuński, umundurowany (jak zresztą niemal cała armia) po francusku, z mini-
strzem wojny na przedzie; z boku zaś książę Ferdynand Hohenzollernski, następca tronu, piękny młodzieniec, w czerwonej, złotem brązowanej kurcie huzarskiej, z siodła nieco naprzód podany, z ręką prawą przy kołpaku, dōsiada niecierpliwie się, bijącego o ziemię kopytem rasowego kasztana. Za oficerami powóz, w którym siedzą w cywilnych ubiorach ministrowie: Agenor hr. Gołuchowski i Stourza.

Obraz, wymagający nagromadzenia tylu osób na wcale niemałym tle pola Kotrocenie, zatem niezmiernie trudny do skomponowania, mogący z powodu swej treści być suchem przedstawieniem urzędowego faktu, dzięki świetnemu ugrupowaniu figur i polotnej werwie pendzla, zaciekawia, zachwyca, zatrzymuje przed sobą. Wszystkie postaci na pierwszym, drugim i trzecim planie żyją, myślą, działają. Twarze i ruchy wyrażają dosadnie ich charaktery, oraz mniejszy lub większy współudział, jaki biorą w wojskowej uroczystości. Malowidło samo — jako malowanie — świadczy o wytwornym kunszcie artysty. Nic w niem niema przypadkowego i nie szukanego. Wszystko osiągnięte rozważnie i przeprowadzone kosekwentnie. Wykończenie, chociaż posunięte do ostatecznych granic, nigdzie nie jest twarde, a nadto nie bierze góry nad przedmiotem, tylko go jasno i zrozumiale tłómaczy, nadając ceremonialnemu aktowi znaczenie historyczne. Reprodukcyja „Tygodnika Ilustrowanego“ uzupełni prawdopodobnie to, czego nie dopowiedziałem i nie określiłem dostatecznie słowem, mówiąc bowiem o dziele tak niepospolitej artystycznej miary i o malarzu tego, co Tadeusz Ajdukiewicz talentu, niełatwo stanąć na wysokim poziomie, przez nie i przez niego zajętem.

ZYGMENT SARNECKI.



Wizya nocna.

*

Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu —
Na twarzy czuję stalowy blask
Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu.

W bólu i w trwodze serce me drży,
Jak ptak śmiertelnie raniony;
Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
Oświeca płomień czerwony.

Jak wąż oślizgły winie się wstręt
I syczy w każdym wspomnieniu...
Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Florence.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

261

Jagiełło zachnął się, i teraz dopiero baczniej na Gniewosza patrzył, i teraz dopiero spostrzegł, że twarz pana z Dalewic była si-
na, skurczona, zmięta, jak gdyby ją kto
w garści ścisnął, że jego oczy niespokojne
rzuciły wokół trwożny wzrok, unikając kró-
lewskiego spojrzenia...

— Coś ty rzekł?—spytał—o jakim za-
pomnieniu mówisz?... dusza chora... co to
jest?...

Gniewosz zgarbił się i milczał.

— Mów!—rozka-
zał Jagiełło, i za ra-
mię go pochwywszy,
cisnął.

A pan z Dale-
wic na klęczki padł:

— Nie karz mnie,
miłościwy panie, —
błagał — za moją dla
ciebie wierność... ka-
załeś, musiałem pa-
trzeć...

— I cóżes wi-
dział?—krzyknął król.

Gniewosz ślinę
przeliwał z głuchym
w krtani chrzęstem,
a potem mówił szyb-
ko, głosem chrypli-
wym, świszczącym:

— Straszna
rzecz... że ja to króło-
wi memu rzec muszę...
ale mi go żal... dzieje
mu się krzywda...
okrutna krzywda...

— Prędzej! prę-
dziej!—naglił Jagiełło,
dysząc.

— Przybywszy
tu, z twojego, królu,
rozkazania, ze Lwo-
wa... widziałem raz
w nocy...

Znów urwał, a
Jagiełło, który dygo-
tał cały, pochylił się
i za bary go chwycił:

— Mów!—wrzas-
nął — mów wszystko,
bo cię uduszę!... kogo
widziałeś?...

— Rakuskiego
Wilhelma!... — wybeł-
kotał Gniewosz i z
pełnej piersi ode-
technął.

Król puścił go
i zachwiał się, cofa-
jąc.

— Gdzie?—spytał
zdławionym głosem.

— W Mornsteinowej gospodzie...
— Był w zamku?... widział się z...?
— W zamku nie był, ale się widział...
w gospodzie.

— Ona była tam!...—zawołał Jagiełło.
W okrzyku tym brzmiał raczej ból
i wstyd niż gniew. Był on stłumiony, nie-
mal cichy, upokorzenia pełen.

— Ona... tam!...—szeptał—och! och!
Wokół niego wszystko rozpadało się
w gruzy. To, co dotychczas zdawało mu się

godnem najwyższej czci, do czego zbliżał się
z uczuciem uwielbienia a w uznaniu swej
niższości, stawało nagle w jego oczach odar-
te z uroku, ohydne i bezwstydne, tem nik-
czemniejsze, że obłudne. I oto dlaczego uczy-
nił on z siebie największą ofiarę, oto dlacze-
go kazał sercu swemu wielbić to, co mu by-
ło nienawistnem, kruszyć i deptać to, co do-
tychczas czcił!... Zaparł się sam siebie, aby
zdobyć hańbę!

Już nie tylko cierpiała w nim zawiedzio-
na miłość, lecz cier-
piał król, który czuł
teraz swoją potęgę a
śmiało zamysły żywił,
i cierpiała duma wiel-
kiego księcia Litwy,
nie znającego oporu,
a karzącego doraźnie
zdradę; cierpiał wresz-
cie człowiek, który
zgłębiał miarę swojej
ofiary i pokrzywdzo-
nym się czuł...

Po chwili zupeł-
nego zamętu, pierw-
szą jego było myślą:
wyjść stąd i nie wró-
cić... Po co mu ta
korona, która tyle ma
cierni? po co ta wiel-
kość, która tyle nę-
dzy skrywa? po co
mu ten obyczaj obcy,
i ta obca wiara, i ten
obcy Bóg, który cier-
pliwie znosi taką zdra-
dę, a mścić się nie
dozwala?

Ale wyjść stąd
to znaczy dać tej zdra-
dzie tryumf. Uroczy-
stemi umowami zwią-
zany jest... a umowy
te chyba ostrze miecza
przeciąćby zdołało.
Gdzie zaś na to siła?
Powstałaby przeciwko
niemu nie tylko Pol-
ska, lecz i zawistni
Krzyżacy, i pewnie ten
zdradziecki rakuski
książę, a w samej Lit-
wie może nawet Wi-
told, marzący o wiel-
koksiążęcej władzy,
i bojarowie, zjednani
teraz Polsce nieznane-
mi sobie dotychczas
wolnościami?... A on
zmarniałby w pohań-



DROGA

Z Salonu A. Krywulka

MAX KLINGER

bieniu, w bezsilnej złości, wydany na uragowisko!...

W jednym mgnieniu oka to wszystko stanęło żywo w umyśle Jagiełły. Nie! on stąd tak wyjść nie może. On teraz musi wzniesić się jeszcze wyżej, nie tylko małżonkiem wspaniałej królowej być, która szczyści się, że jest wnuczką Kazimierza Wielkiego i od świętego Ludwika francuskiego pochodzi, lecz samemu wielkim królem zostać, o którymby mówił świat cały... Ponad piastowskiego orła, po nad andegaweńskie lilie on wzniesie litewską Pogoni. I to będzie zemsta godna wnuka „króla Litwy,” Gedymina!...

Gniewosz, nie wstając z klęczek, patrzył teraz wystraszonemi oczyma na Jagiełłę, na jego twarz bladą, drgające wargi i oczy, utkwione w dal w osłupieniu. Czuł jeszcze na swoich barkach ucisk kościstych palców króla i drżał o własne życie. I po co mu było tak zapalać się i mówić odrazu wszystko, bez przygotowania? Ale przeklęty Henniger mówił dobrze: rozmachał się i—palnął.

Ale król już oprzytomniał i, rzuciwszy okiem, dojrzał klęczącego Gniewosza. Przyskoczył do niego.

— Na własne oczy widziałeś?—spytał.

— Widziałem.

— Byli inni świadkowie?

— Jeno Henniger... Niemiec, który na żołdzie jest...

Jagiełło podniósł groźnie prawicę.

— Zginiesz!—krzyknął—zginiesz, jeżeli skłamał, zginiecie obaj sromotnie, jeśli o tem, coście widzieli, piśnecie słówkiem!...

I znowu za bary go porwał i trząsł.

— Przysięgam... na Boga! — bełkotał Gniewosz.

Nagle puścił go Jagiełło i wybiegł jak szalony z komnaty.

Pan z Dalewic, nie ruszając się z miejsca, zgarbiony i jakby przybity do ziemi, słuchał, dopóki echo kroków Jagiełły nie ścichło. Potem dzwignął się nieco i obejrzał z lękiem wokoło.

— A to piękna przygoda!—myślał—jeżeli się stąd teraz nie wymknę, tom przepadł... Ten dziki poganin skórę zedrze ze mnie!

Przyczołgał się ku drzwiom i nasłuchiwał. Było cicho. Porwał się, drzwi otworzył i w mrokach korytarza zniknął.

Gdy wychodził z zamku, doszły do uszu jego z góry wołania i krzyki. Podniósł głowę i ujrzał, jak w oknach komnat królowej migotały światła.

— Zaczyna się tam zabawa! — mruknął i pobiegł co tchu ku swojemu dworzysku.

Wpadł do komnaty i na ławę się osunął, omdlały niemal.

Henniger, który oczekiwał, odrazu domyślił się, jeno spojrzawszy na wybladłą jego i pełną lęku twarz, co zająć musiał.

— Odkryłeś wszystko?—spytał.

Gniewosz chwycił oddech do zdyszanej piersi i odpowiedział bełkocząc Hennigera słowy, które mu utkwily w pamięci:

— Rozmachałem się... palnąłem od razu... i... i... źle jest!

— Najlepiej!—zawołał Niemiec.—A to teraz rakuski książę będzie miał uciechę! Nagroda pewna.

Z wielkiej wesołości płasnąć zaczął po komnacie, przyspiewując:

Sy kan mit falschheit dich ergetzen,
Ein schübutzen *) in das fenster setzen,
Wenn du wendst, sy lyg selb do,
So ist ein butz gemacht uss stro... **)

Zbliżywszy się do Gniewosza chciał go objąć i do płasów pociągnąć. Ale gdy się dotknął jego ramienia, ów syknął z bólu.

— E... e... — zaśmiał się Henniger — poturbował cię snadź król! A to poganin! Nasz Wilhelm, Wytwornym zwan, ręką nie tyka, jeno biczkiem śmiga, albo gdy bardzo zły, to pluje... Plunie w twarz i pójdzie...

— Cichaj, błaznie! — wrzasnął wreszcie Gniewosz.—U nas rycerzów nie biją, ani pluja na nich, ale powiesić to mogą... Musimy obaj stąd precz...

— Co?—zawołał Henniger—teraz precz?.. A nagroda? Naprzód król, potem Wilhelm musi dać...

— Ty sobie ostań,—odparł Gniewosz—jeśli cię szyja świerzbi, ale ja nie głupim...

Przywołał dworzanina i rozkazy wydawał.

— Dziś jeszcze—mówił—ja do Niepołomic muszę... Król rozkazał łowy przygotować... Pojadę naprzód sam, dziesięciu pacholików jutro za mną.

Henniger ostać sam nie chciał, ale próbował jeszcze namowy.

— Tyś jest w strachu — mówi — i jeno w nogi ufasz... A ja ci powiadam: ostańmy razem... razem... Ucieczka w takim momencie zaświadczy sama, żeśmy kłamali... a myśmy widzieli na prawdę...

— Głupiś jak kot po ponowie! — wrzasnął pan z Dalewic.—Ja nie uciekam... Król kazał łowy gotować, to i do Niepołomic jadę... Stamtąd na wzwiady wyślę... Jeśli będzie po naszej myśli, i król niepogodzony na Litwę ujedzie, albo jeżeli Jadwiga, rozgniewana, żyć z nim nie zechce, wówczas będzie czas o nagrodzie u Wilhelma lub u Jagiełły myśleć. Jeśli zaś pogodzą się... to czekać nie będę, aż mi pod ławą odszczekiwać każą...

— W Niepołomicach wrychle was znajdą...—zauważył Niemiec.

A pan z Dalewic aż się zaśmiał.

— W puszczy?—rzekł.—Znam ją lepiej, niż kto inny... I rok cały siedzieć tam mogę bezpiecznie. A oni znajdą nie mnie, jeno łosia, jelenia, albo dzika.

— Z tobą gadać — ozwał się Niemiec — to jak z łysym za czuprynę się wodzić... Ale może ty i dobrze mówisz... chociaż tak mi się zda, że ja z tobą na raki szedł, a tyś żab nachwytał... Dobrze jednak... cierpliwym jeszcze będę i z tobą pojadę, jeno dobrego konia każ mi dać...

Gniewosz splunął ze wściekłością.

— Lepiejbyś ty do dyabła, albo do swojego Wytwornego jechał!—mruknął, ale zwady nie wszczynął, i niebawem światła w dworzysku pogasty. Gniewosz i Henniger ku Niepołomicom popędzili rysi.

Tymczasem w zamku wrzało.

Król, porzuciwszy Gniewosza, pobiegł do komnat Jadwigi. Sam nie wiedział co czyni i co jej powie, to jedno czuł, że widzieć ją musi i spojrzeć jej w oczy. Teraz, gdy szedł do niej, wszelakie inne myśli pierzchły.

*) Lalka.

**) Ze średniowiecznych piosenek niemieckich.

Ona jedna, ta wyniosła a piękna, zapełniała mu duszę.

Im bliżej było do jej komnat, tem wolniej szedł. Jak ona go przyjmie? Pewno, jak zwykle, obojętnem, zimnem spojrzeniem... a on jej wzgardą w oczy ciśnie, na proch zetrze jej dumę... i po raz pierwszy ujrzy tę wyniosłą niewiastę na klęczkach przed sobą, zlaną...

Znowu przyspieszył kroku i gwałtownie wpadł do antykamery. Drogę mu zasłała pani Beska, ale on, mierząc ją wyiskrzonym spojrzeniem, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Precz!...

Ochmistrzyni cofnęła się przerażona, on zaś szarpnął podwoje, zasłonę okrywającą je odrzucił i wszedł.

Królowa, bardzo dnia tego niemocna, zamyślała na spoczynek iść. Włosy rozpuszczone i rozczesane, okrywały ją jak płaszcz żałobny na białej powłóczystej sukni.

Odmawiając ostatnie pacierze, klęczała przed krzyżem, gdy Jagiełło wpadł.

Porwała się i podeszła ku niemu chwiejnym krokiem.

— Co to jest? co to znaczy? — pytała wyniosłe.—Niemocnam bardzo... proszę, ostawcie mnie!

A on szedł ku niej, blady jak trup, z zaciśniętymi ustami, drżący, bezprzytomny. Wyniosłe spojrzenie Jadwigi i jej słowa dopełniły miary.

— Ha! — krzyknął swym tubalnym głosem—ostawię cię ja, cna królowo, razem z twoją koroną, którą andegaweńskim obyczajem bezczęścisz!...

Oczy Jadwigi stały się bardzo wielkie, cofała się z otwartymi ustami, nie mogąc słowa rzec. Stała się bledszą od swej sukni białej.

On zaś postępował ciągle i, drażniony milczeniem, wołał z coraz większą wściekłością:

— Zaprzecz, że tu nie był Wilhelm rakuski! Zaprzecz, żeś nie widziała się z nim... ty, dumna królowa, w podłej gospodzie Mornsteinów!... Powiedz: nie!...

Zbielałe wargi królowej poczęły gwałtownie drgać. Oparła się o mur i chwilę stała z przymkniętymi powiekami, dysząc. Nie mówiła ani słowa. Na jej marmurowe czoło wybiegły krople potu.

— Mów!—krzyknął Jagiełło.

A ten krzyk, brutalny, dziki, obudził ją z martwoty. Otworzyła mgłą zasnucone oczy i spojrzała na krzyż.

Dzwignęła się i prostowała, opanowując niemoc. Krokiem pewnym, mijając króla i nie patrząc na niego, podeszła ku drzwiom, rozsunała zasłonę i odemknęła podwoje.

— Niech tu wejdzie cały dwór!—rozkażała przerażonej ochmistrzyni.

Jagiełło oniemiał

— Co czynić chcecie?... królowo...—wyjąkał.

Wściekłość opuściła go odrazu, a natomiast ogarnęło dziwne uczucie lęku i żalu zarazem.

— Co chcecie czynić?—powtórzył.

Odpowiedzi nie było. Jadwiga ukłękła napowrót przed krzyżem i ukryła twarz w dłonie.

— To ów najsroższy cios,—myślała—którym groził mi książę Nawój, za krnąbrność

moją... Przyjmuję go, Chryste, ale przydad sił!...

Tymczasem zapełniała się komnata dworem niewieścim królowej. Nie było jeno Elżbietki, którą małżonek, powróciwszy, do swego zabrał dworzyska. Na czele stała pani Beska, mając obok siebie Reginkę. Wchodząc, każda oddawała głęboki pokłon królowi, który oparty o stół, w osłupieniu patrzył.

Naraz królowa powstała z klęczek.

Oblicze jej płonęło teraz, a oczy nie zwykłym błyszczały ogniem. Wnuczkę Kazimierza Wielkiego otoczył taki majestat, że Jagiełło głowę chylił, porażony wspaniałością tą.

I rzekła głosem donośnym:

— Pan król żali się, jako na małżonkę jego, na mnie, królową waszą, padają u dworu obelżywe słowa...

Wśród zgromadzonych ozwał się szmer.

— O! o! — szeptano chórem.

Jadwiga zaś mówiła dalej:

— Jakieś zuchwałe usta śmiały rzec, że ja, królowa wasza, czasu najsroźszej żałoby po macierzy mojej, wychodziłam z zamku, aby...

Tu głos jej zadrżał i złamał się, ale jeno na moment. Z podniesioną głową i donośnie powtórzyła:

— Aby widzieć się z księżciem rakiem, Wilhelmem!

A na to ozwał się jeden krzyk, potem płacz. Pierwsza Reginka, strzymać się nie mogąc, podbiegła, rzuciła się na klęczki i stopy całowała królowej...

Ona zaś prawicę położyła na krzyżu.

— Wie Pan Chrystus, — zawołała — że to fałsz! Wasz krzyk i wasz płacz świadectwem jest, że to fałsz!... Mnie to wystarcza, ale panu królowi zadośćuczynienie się należy, iżby wykryć owe potwarcze usta... Jeśli między wami one są, niech teraz dadzą świadectwo prawdzie!

A na to cały dwór za przykładem Reginki na klęczki padł i szlochać a przysięgać począł.

Jadwiga zaś, widząc taką wokół siebie miłość po zelżywości takiej, słabnąć zaczęła. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymano. Gdy napół omdlała składano na łożu, Jagiełło, bezprzytomny niemal, wybiegł z komnaty.

Niemal do świtu ciągły ruch był w zamku. U króla na naradzie trwali Dobiesław z Kurozwęk, Dymitr z Goraja i Jan z Tęczy, kasztelan wojnicki, ksiądz Wysz i Nawój, a przy niemocnej Jadwidze czuwały noc całą pani Beska i Reginka.

Gdy dzień zaświtał, Jadwiga kazała przywołać Nawoja.

— Ojczel! — rzekła mu, gdy przybył — oto spełniły się wszystkie gromiące słowa twoje... Za krnąbrność spadły na mnie najcięższe ciosy: okrutny zgon macierzy i potwarz krwawa. Otom złamana jest prawica Bożą, ale karę wdzięcznym sercem przyjmuję, i nie masz żalu w sercu mojem...

Nawój z politowaniem patrzył na jej bladą, jak chusta, twarz, na jej zapadłe głęboko i mgłą omdlenia zasnute oczy, a z podziwem słuchał tych słów, świadczących o niezłamanej mocy duszy, choć wymawianych głosem, słabnącym jak dalekie echo. Przejmowała go ogromna dla Jadwigi cześć,

jako dla istoty już zgoła nieziemskiej, i rzekł wzruszony:

— Bóg ma więcej, niż rozdał. I wynagrodzi Ci w pełni, miłościwa pani, srogie utrapienia twoje, wynagrodzi Ci widokiem szczęśliwości ludu twego i jego uwielbieniem...

— Nie! — przerwała Jadwiga — nagrody nie pragnę... i jej się nie spodziewam! Czuję, jako nie żywota mego rwie się, i o to jedno błagam Najwyższego, iżby mi dozwolił dopełnić, co zamierzyłam... skłonić pana króla do odnowienia Akademii naszej...

— Król teraz nakłonić się da — odparł Nawój; — zgębiony jest tem, co uczynił, i wielce skruszony, a jeno przebaczenia twego, Pani, wygląda...

— Jam mu już przebaczyła... — szepnęła Jadwiga. — Nie dla pomsty wszakże, uchowaj Bóg, jeno dla cześci pani królestwa tego i swojej małżonki winien on dochodzić potwarzy i uczynić sąd...

— Tak być musi — rzekł Nawój. — Król opierał się długo, ale w końcu wyznał...

— Kto?... — spytała żywo Jadwiga, dźwigając się nieco na łożu.

A Nawój odparł:

— Ukarany być musi... ale ty, królowo, przebacz mu w sercu swem, jako przebaczył Pan Chrystus, albowiem snadź nie wiedział, co czynił... Potwarzą jest... Gniewosz z Dalewic!

A na to głowa Jadwigi opadła na wezglowia. Przymknęła oczy i myślała: Wszak to przyjaciel Wilhelmów, pierwszy powiernik i świadek ich miłości!... I on śmiał?... Z czyjego poduszczenia? może samego Wilhelma?

Wielką goryczą zapłynęło jej serce, ale jeno na moment; wnet otworzyła oczy i, oddychając ciężko, rzekła:

— Nieszczęsny to jest człek... On snadź od początku chciał niezgodę niecić i budzić podejrzenia, bo i mnie złych na króla nie szczędził podszeptów... Ustnie chciałabym powiedzieć to królowi, bo i w tem jest dowód, jako to wszystko, co mówił — fałsz!... Ale dziś nie mam sił... Jutro, Nawoju, jutro... proście pana króla, iżby do mnie przybył razem z panami Rady... I ty, ojczel, przybądź... Wszak przyrzekłeś mi ongi nie odstępować mnie do ostatniego tchu...

Nawój pochylił się niemal do jej ręki.

— Pani moja! — rzekł głosem od wzruszenia drżącym — pragnąłbym służyć ci w szczęściu...

Na usta Jadwigi wybiegł blady uśmiech, którym zwykł uśmiechać się smutek, uspokojony, bo niemający już żadnej nadziei.

— Módlcie się, ojczel pobożny, — szepnęła — abym przebaczyć mogła wszystkim... Wszystkim — dodała z naciskiem, myśląc o Wilhelmie.

I pozostawszy sama, długo leżała z zawartemi powiekami, w ciężkiej pogrążona zadumie.

Tak! wątplenia być nie mogło. Gniewosz był jeno narzędziem, a przez niego dosięgała ją mściwa ręka Wilhelma. Nie nadarmo on już przedtem rozsyłał żalące się i szkalujące ją pisma do wszystkich domów, nie nadarmo zmawiał się z Krzyżaki i na Litwę ich poduszczał... Chciał jeszcze teraz mieć oczywisty dowód jej występku i Gniewosza użył... Mścił się za starganą miłość,

za złamane przyrzeczenie, za utraconą koronę, mścił się za pohańbienie swe... Ale jak przebaczyć mu taką krwawą zniewagę?...

— Chryste! o, Chryste! daj moc!... — szeptały usta Jadwigi.

Wtem otwarły się z cicha podwoje, i weszła pani Beska. Miała oczy czerwone od płaczu i głos drżący.

— Pani miłościwa, — rzekła — Elżbietka Spytkowa nadbiegła... chciałaby wejść... wstrzymałam...

Jadwiga uśmiechnęła się niemal radośnie, rada z tej przerwy w myślach gnębiących.

— O, niech wejdzie! niech wejdzie miła moja Elżbietka! — zawołała.

Za moment weszła ona i strzymała się u progu. A potem nagle na kolana padła i czołgała się ku królowej na klęczkach z wyciągniętymi ramionami.

— Pani!... święta Pani!... — jęczała.

A Jadwiga z podziwieniem patrzyła na nią. I teraz dopiero spostrzegła, że twarz jej dawnej dominicelli była dziwnie zmieniona, cała znaczone czerwonymi piętnami, jakby od gorącego żelaza. Usta miała spieczone, a oczy żarzące się ogniem gorączki.

Dźwignęła się i spytała z niepokojem:

— Coć się stało?... pan Spytko?...

— Nie! nie! — krzyknęła Elżbietka, zalamując z rozpaczą ręce. — Jemu nie stało się nic... alem ja niegodna!

I przyczółgawszy się do łoża, całowała stopy Jadwigi. Potem zaś mówiła zdyszczanym głosem, jakby jednym tchem wszystko wypowiedzieć chciała:

— Gniewosz skłamał, że widział ciebie, królowo, i że widział księcia Wilhelma... On widział mnie... i Jana z Münsterberga!...

Jadwiga porwała się.

— Ty!... ty!... — wołała ze zgrozą — ty śmiałaś!...

Elżbietka twarzą przypadła do ziemi.

— Och! och! — jęczała — srogo pokarał mię Bóg... Od momentu, gdy mi zwiastował pan Spytko, co się tu stało... nie żyję!... Ty, pani święta, cierpisz przeze mnie... a ja co uczynić mam, iżby przebaczenie uzyskać?...

Jadwiga słuchała z szeroko otwartymi oczyma, a potem powieki znów zawarła, myśląc:

— Więc Gniewosz powód miał... I ta, ta umiłowana jej niegdyś dominicella, ta dobrodziejstwy przez nią obsypana małżonka wiarołomna dzielnego i możnego Spytki, ona sprawiła to!... Zaiste, niegodna!

Uniósł ją gniew, i krzyknęła:

— Wyjdź stąd!...

A Elżbietka pod grozą słów tych dźwignęła się nieco i wyprężyła sztywnie, patrząc na królową pełnemi przerażenia oczyma.

— Wyjdę, — rzekła — ale pierwej na krzyż Pana Chrystusowy przysięgnę, że wiary nie złamałam... W obecności rodzica mego żegnaliśmy się z zambickim księżciem, ślubując, że grzech będzie od nas daleki... Tak mi dopomóż Bóg...

Powstała z klęczek i dodała stanowczo:

— Jedno teraz uczynię... uczynić muszę. Do króla pójdę, do małżonka mego pójdę, przed panami Rady wołać będę: „To byłam ja, która godności swej, lecz nie cnoty zabyszy, z zamku do Mornsteinowej gospody



PRZEGLĄD WOJSK RUMUŃSKICH
W OBECNOŚCI KRÓLA KAROLA I CESARZA FRANCISZKA JÓZEFA

Tygodnik ilustrowany.

Z Salonu A. Krywnia
TADEUSZ AJDUKIEWICZ

szła na spotkanie Jana z Münsterberga...“ Powiem wszystko... rodzic mój poświadczy... wyzna zambiicki ksiązę... Ocalę cześć twoją, królowo!

I chyląc kornie głowę, ucałowała rąbek zasłony łoża, a potem szła ku drzwiom krokiem pewnym, gotowa na wszystko.

— Zostań!—zawołała Jadwiga.

Usiadła na łożu i wyciągnęła ku Elżbietce dłoń.

Ona nieśmiało zbliżyła się... a potem nagle osunęła się znowu na ziemię, i chwycił ją płacz ogromny.

Królowa zaś, rękę kładąc na jej głowie, mówiła z cicha, łagodnie:

— Wierzę twojej przysiędze i... przebaczam! Ale pokutę mieć musisz...

— Uczynię... spełnię wszystko!—szepnęła przez łzy Elżbietka.

— Otóż rozkazuję ci, aby o tem, coś powiedziała, nie wiedział nikt, chyba na świętej spowiedzi ksiądz... Przedewszystkiem czyni tak, iżby żadnych nie powziął podejrzeń małżonek twój... niebaczny zaś czyn wynagrodź mu odtąd dobrocią i miłowaniem...

Elżbietka przestała płakać i milczała. A naraz, głowę podnosząc, zawołała:

— Jakoż to się stać może?... Twoja cześć, królowo, wymaga, iżbym wyznała.

— Moja cześć!... — powtórzyła Jadwiga, wznosząc wzrok ku krzyżowi. — Moją cześć obroni Pan Chrystus...

— Ty, Elżbietko, останiesz dzisiaj przy mnie—dodała po chwili, w obawie, iżby ona w rozdrażnieniu swem nie wyrzekła jakiego niebaczego słowa. — Jam już wycierpiała wszystko... ty zaś winnaś zachować spokój małżonka swego i dlatego milczeć...

Nazajutrz odbyła się narada w komnacie królowej. Jadwiga siedziała w krześle, wsparta na wezgłowiach, w żałobne przybrana szaty.

Jagiello wszedł pierwszy, bardzo nieśmiało, nie podnosząc oczu.

Ona zaś oba wyciągnęła ku niemu ramię.

— Bywajcie, panie mój,—rzekła—a podnieście wzrok... Niech was nie przeraża bladeść moja... to przejdzie... W duchu oto jestem już spokojna i mocna...

A król, słysząc głos ten cichy i łagodny, spojrzawszy na twarz Jadwigi, jak opłatek białą, na jej oczy zawsze piękne, ale w głąb zapadłe i ciemnymi otoczone obwódkami, zadziwił, bo zdało mu się, że mówi i patrzy na niego niewiasta, która się z żywotem rozstaje.

Pochwycił jej wychudłą zimną dłoń i, przykląkawszy, całował.

— Daruj... zapomnij! — szeptał — a nie odchodź ode mnie!

— Wstań, królu!—rzekła Jadwiga.—Będzie, jak rozkaże Bóg. Żyć pragnę, iżby razem z tobą dopełnić wszystkiego, co dla szczęśliwości naszego królestwa potrzebne... Ale oto nadchodzą panowie Rady...

Weszli pan Dobiesław z Kurozwęk z Dymitrem z Goraja, potem Zawisza z Oleśnicy i Spytko z Melsztyna, a dalej Jan z Tęczyna z bratem Nawojem, i ksiądz Wysz, i Jaśko z Tarnowa, a także przywołani sędziowie małopolscy, w prawie biegli, Drogoz z Chrobrza i Krzesław.

A gdy weszli, pokłon oddawszy, dźwig-

nęła się z trudem królowa z miejsca swego i podniesionym głosem rzekła uroczyście:

— Stało się ku pohańbieniu rycerstwa, że rycerz Gniewosz z Dalewic, zawiścią jakoś uniesiony, kłamliwym a niepocziwym oszczerstwem spotwarzył przed najjaśniejszym Władysławem królem niewinność małżonki jego, a polskiej królowej... Przysięgam już i raz jeszcze wszem wobec ponawiam przysięgę na święty krzyż, jako to jest fałsz i oszczerstwo. Żądam tedy, a to dla czci tego królestwa, ukarania potwarzy wedle praw!

Gdy to mówiła królowa, głęboka panowała cisza. I nagle rzucił się naprzód Jan z Tęczyna, wojnicki kasztelan.

— Ja—rzekł—przysięgam, iż piętno tej zniewagi zetrę!...

— I ja! i ja!...—zabrzmiły głosy.

Najdonośniej wołał pan Spytko.

Jadwiga, skończywszy swą przemowę, osunęła się na krzesło, a teraz długo z widocznym wzruszeniem patrzyła na pana z Melsztyna...

— Nie, — ozwała się — ty, miły Spytku, останiesz tu, przy Elżbietce, która niemocna jest. Pan Jan z Tęczyna będzie moim obrońcą... A może i dwunastu rycerzy znajdzie, którzyby gotowi byli orężem czci królowej bronić.

— Staniemy wszyscy! tysiące staną! — ozwały się głosy.

A na to wołanie rozpromieniła się na moment blade twarz Jadwigi i wdzięcznym dziękowała uśmiechem.

Narada trwała krótko. Postanowiono wezwać kilkakrotnie pana Gniewosza, który, jak mówiono, do Niepołomic ujechał, iżby się stawił na sąd w Wiślicy, gdyby się zaś nie stawił, wydać wyrok zaoczny.

A król biadał:

— I pomyśleć,—mówił—iż ja tego Gniewosza w łasce swej miałem! żem mu nawet przyrzekł, jako podkomorzemu krakowskiemu go uczynię i Wiśnię pod Przemyślem mu dam... iżby tam był sędzią!...

A Jadwiga, gdy panowie Rady opuścili jej komnatę, rzekła mu:

— Przyrzeczenia, królu, dotrzymasz. Niech jeno Gniewosz potwarz odwoła... niech odszczeka... a potem uczynisz go podkomorzym i Wiśnię mu dasz...

Jagiello patrzył zdumiony.

— Jabym—odparł—za takową zbrodnię, nie wedle waszego statutu Kazimierzowego, który zbyt łagodny jest, lecz wedle litewskiego obyczaju go karał... Do trzech dni sam własną ręką obwiesićby się musiał... A język przedtemby mu wydarto...

— Nie, królu—ozwała się Jadwiga:—zginąłby przeklinając, a tak żyć będzie, iżby błogosławił twe imię i duszę swoją szczerą pokutą zbawił...

A widząc taką jej dobroć, Jagiello nie mógł wyjść z podziwu, ale zarazem nabierał otuchy, że ona, która z zaciętym wrogiem swoim tak postępować umiała, i do niego żalu się zbędzie, a stanie się miłującą małżonką.

Tymczasem pan Gniewosz, nie mogąc w niepokoju wydzierżyć w Niepołomickiej puszczy, uwolniwszy się od Hennigera, który

wreszcie do Wiednia ujechał, iżby księżęciu Wilhelmowi zanieść wieść o spełnieniu pomsty srogiej, powrócił w tajemnicy do Krakowa i, ukrywając się także w Mornsteinowej gospodzie, zręcznie na wzwiady posyłał, coby się w zamku i w mieście działo.

Wiedział też o wszystkim: jako na bramie jego dworzyska przybito pisemny pozew, a strażnicy miejscy codziennie po trzykroć, rano, w południe i w wieczór, wywoływali imię Gniewosza z Dalewic z wezwaniem, iżby na sąd w Wiślicy się stawił; wiedział wreszcie, że do Wiślicy wyruszył na sąd ów pan Jan z Tęczyna z gronem rycerzy.

— Niech sobie jada!—mrucał.—Nie do czekanie ich, iżbym jak pies z pod ławy czekał... Przeczekam ja burzę, i jeszcze zobaczmy...

Dzień za dniem mijał wszakże, żadnej nie przynosząc zmiany, i pan z Dalewic, w ukryciu swem nędznym siedząc, coraz frasobliwszym się stawał. Wrócili już panowie z Wiślicy, na bramie Gniewoszowej przybito znów wyrok zaoczny, skazujący go na sromotną karę odszczekania pod ławą oszczerstwa, na wyznanie, że „zełgał jak pies“, i na główwszyzną sześćdziesiąt grzywien. I znowu heroldowie miejscy codziennie obwieszczali wszem wobec przy odgłosie trąb i kotłów, jako w przytomności licznych świadków zagranicznego prawa i dwunastu zbrojnych rycerzy, gotowych na sąd boży, Gniewosz przepadł haniebnie w sądzie, a niewinność nieskalana królowej uznaną została.

To wszystko nie byłoby go jeszcze zbyt mocno frasowało. Była to owa burza, którą on przetrwać był gotów, ale martwiło go to najbardziej, że mu donoszono, jako między królem a królową zgoda trwa, a nawet lepsza jest, niż dawniej.

— Wszystko nadarmo! — myślał i kłął.

I już nawet na seryo rozważać począł, czyby nie zabrać z przechowania skarbów rakuskich i z nimi śladem Hennigera do Wiednia nie podążyć, a o przytułek i opiekę Wilhelma prosić.

Pewnego dnia nad wieczorem wpadł do jego izby w Mornsteinowej gospodzie zdyszany pacholik, który mu był najwierniejszy, a sprytny, więc najczęściej na przespługi posyłany.

— Panie!—zawołał, dech łapiąc:—złe jest. Schwytano mnie, gdy do zamku na wywiady szedł, i poznano, że jest wasz. Pytać poczęto: gdzie pan Gniewosz? Odpowiedział: „Nie wiem, ujechał precz i oto cały swój dwór na łasce Bożej zostawił... Snuję się, abym łyżkę strawy gdzie dostał...“ Oni zaś na to: „Łziesz, jak i twój pan!“ I chłostą grożą...

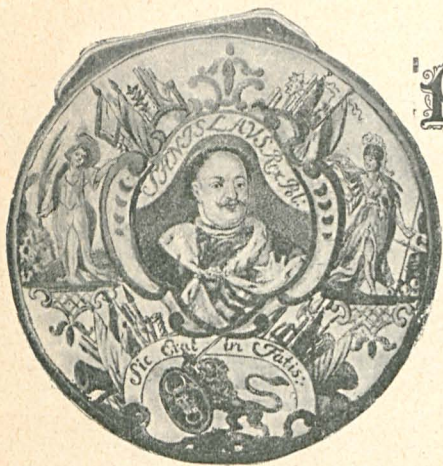
— I cóż? i cóż?—przerwał niecierpliwie pan Gniewosz.

— Ano, myślałem, że będzie ze mną koniec... W strachu tedy rzekłem: „Królowej jednej powiem, do niej mnie prowadźcie!...“ Zrazu słuchać nie chcieli i targać mnie już poczęto. Ja zaś podniosłem taki krzyk, że stał się rumor w zamku całym, i usłuchać mnie wreszcie musiano...

— Powiedziałaś królowej! — wrzasnął pan z Dalewic, groźnie pięść podnosząc.

Aleksander Rembowski.

Wygnańcze losy Stanisława Leszczyńskiego.



Tabakierka emaliowana z wizerunkiem króla Stanisława Leszczyńskiego.
Ze zbiorów ordynacji hr. Krasińskich.

Postać Leszczyńskiego nie miała zatem żadnego z owych wybitnych przymiotów serca, rozumu, charakteru, które zdobywają historyka i służą mu wybornie do zrozumienia i odczucia danej epoki. Zbieg przeważnie smutnych okoliczności, a nade wszystko tułacza dola, obdarzająca go nawet niezwykle śmiercią, przypominała go historykowi na każdym kroku, jako posąg rezygnacji i spokoju, jako marzyciela, którego ideały polityczne nie odbiegły ani na chwilę od zasad słuszności i sprawied-

liwości, czerpanych z ducha chrystyanizmu, wreszcie, jako dobrego monarchę, który owej odrobiny władzy, jaka mu pozostała w Lotaryngii, użył, aby pomódz biednemu ludowi i upięknąć swą stolicę licznymi pamiątkami, zarówno jak i wspomnieniami pierwotnej ojczyzny. Taka sędziwa postać, uosabiająca przede wszystkim dobrego i sprawiedliwego człowieka, uderzać musiała historyków oryginalnością kształtów, niezwykle w drużynie panujących.

Właśnie też owe wygnańcze losy Leszczyńskiego stały się przedmiotem gruntownego i starannego opracowania, podjętego przez historyka francuskiego, p. Boyé. Pisarz ów, niejednokrotnie już zajmował się żywotem Stanisława Leszczyńskiego i zapowiedział jeszcze uzupełnienia, które wyczerpią w zupełności cały ów przedmiot historyczny. Dzieło jednak, którego tytuł podałem na wstępie, przedstawia w pełnym przebiegu jego wygnańcze losy, z całym bogactwem interesujących, mało lub wcale nieznanych szczegółów i na szerokim tle ogólnoeuropejskich wydarzeń. W literaturze polskiej, francuskiej i niemieckiej zjawilo się dość biograficznych opisów, zbierających skrętnie okruczki legendy Leszczyńskiego, ale nie posiadających żadnej historycznej wartości. Pierwszy p. Boyé wystąpił z pracą, która zaspokaja nawet wybredne wymagania, stosowane do poważnej, historycznej pracy, i która zdobywa nasze uznanie pracowitością i gruntownością badania.

P. Boyé zadał sobie przede wszystkim trud poznania zagranicznych archiwów i odszukania piśmiennych źródeł, które się w nich kryły. Plon jego pracy okazał się niezwykle bogatym, i można wątpić, czy się znajdują gdzie poważniejsze materiały archiwalne, któreby p. Boyé pozostały nieznanymi. O absolutnem wyczerpaniu wszystkich drobniejszych dokumentów nawet mowy być nie może, gdyż one odnajdują się ciągle i niekiedy dość przypadkowo. Biblioteka ordynacji hr. Krasińskich jest np. obecnie w posiadaniu pewnej liczby listów Czapskiego i Sikorskiego, dotyczących sprawy Leszczyńskiego w Królewcu, które to listy przeszły do Biblioteki razem z archiwum Sterdyńskim, zawierającym między innymi Buttlarowską kancelaryę. Nic to jednak nie przeszkadza, że pan Boyé oparł swą pracę na tylu, i to tak poważnych źródłach rękopiśmiennych, przeważnie archiwalnych, że nie jeden historyk tym jego odkryciom pozazdrościć może. Oprócz tego p. Boyé zapoznał się gruntownie z całą literaturą drukowaną w rozmaitych językach, a Leszczyńskiego dotyczących. Jest to zasługa niemała, ze względu na rozproszone książki, które, zapomniane i w pleśni, nawet najtroskliwszym badaczom bywały nieprzystępne. Zwłaszcza broszury polityczne, wydawane w r. 1733, z powodu kandydatury Leszczyńskiego, należały niekiedy do osobliwości antykwarskich. Zapoznanie się z nimi nie było więc zadaniem tak łatwym do wykonania, jakby się z pozoru zdawało. Naturalnie, że i w tym razie nie może być mowy o absolutnem wyczerpaniu, bo z czasem wynajdują się broszury, walające się długo na poddaszach, lamusach, magazynach i t. p. lokalnościach. W każdym razie p. Boyé zawładnął imponującym materiałem zarówno rękopiśmiennym, jak

i drukowanym, zdobył w tej historycznej dziedzinie niezwykle erudycję i zasługuje na to w zupełności, aby społeczeństwo nasze zajęło się z uwagą jego pracą, poświęconą Leszczyńskiemu.

Pozwolę sobie wyłożyć treść pracy p. Boyé nasamprzód z tego względu, iż zawiera wiele, i to nieznanych szczegółów z życia Stanisława Leszczyńskiego, a następnie, aby się cokolwiek w jednej kwestyi posprzeczać z autorem, co się nie sprzeciwia zupełnie temu, że dla jego dzieła żywiec szczerze uznanie.

Rodziną Leszczyńskiego i młodością samego Stanisława zajmował się p. Boyé jedynie tyle, ile tego konieczność wymagała. W każdym razie znajdujemy zupełnie wystarczające genealogiczne wiadomości, rodziny Leszczyńskiego dotyczące, oraz stwierdzenie tego, że Stanisław odebrał niezmiernie staranne wychowanie, że miał szczególny zmysł do studyów naukowych. Monarchiczne jego rządy i krótki pobyt w kraju są przez autora treściwie i ogólnie naszkicowane, a dopiero z chwilą wkroczenia Leszczyńskiego na obcą ziemię rozpoczyna p. Boyé szczegółowe dzieje jego żywota.

Z chwilą zniknięcia z widowni dziejowej Karola XII, pisze p. Boyé, słabość i chwiejność charakteru sprawiła Leszczyńskiemu wiele strapien, nie pozwalając mu zorientować się w położeniu i odzyskać trzeźwości umysłu. W celu uzyskania pomocy, wprost już materyalnej, umożliwiającej zwykłe śmiertelników istnienie, zwrócił się Leszczyński do Francji, nie omijając jednak przy tej sposobności Leopolda, który naówczas rządził w Lotaryngii. W liście, malującym smutne położenie swoje, odwołuje się Stanisław do wspaniałomyślności Leopolda. Poseł austriacki, dowiedziawszy się o tem, zapobiegł temu, aby Leopold nie wspomagał proskrybo-



Pałac książęcy w Nancy od strony podwórza.

wanego monarchy, z którym Austria nie utrzymywała żadnych stosunków. Wbrew jednak tym oświadczeniom, Leopold zasilił prawie pustą kasę Leszczyńskiego, czem spędził pierwszą codzienną troskę z jego czoła.

Leszczyński dopraszał się jeszcze o ważniejszą rzecz, bo o stałą gościnę w dzierżawach Leopolda, a tej mu Leopold nie chciał przyznać, nie porozumiewając się poprzednio z księciem Orleańskim. Gdy jednak porozumienie owo ze względu na Augusta II nie przychodziło tak prędko do skutku, pozwolono Leszczyńskiemu osiąść w Wissemburgu, do czego staraniem swoim przyczynił się biskup strasburski, książę de Rohan. Trudne położenie, w jakim się znalazł w powyższym mieście, nie oddziało na niego korzystnie. Nie okazał też podniesłego ducha, któryby zakrył lub uszlachetnił dokuczliwą codzienną jego troskę. Leszczyński zdobył się tylko na jedno natrętne i nieustające dopraszanie się pomocy, a zawody i upokorzenia nie były go w stanie od tego odzwycząić. Przeciwnie zdawały się potęgować jego natręctwo, któremu towarzyszyły coraz wstrętniejsze pochlebstwa, i to zwracane nie tylko do możnych tego świata, lecz i do niższych wpływowych, intryganckich dworaków. Czasami owe naprzykrzania się przynosiły skąpy i nie na długo starczący owoc. Tak np. w r. 1720 Fryderyk szwedzki zwrócił uwagę reagenta francuskiego na smutną dolę wygnańca Wissemburskiego, przypominając jednocześnie, że przy zawieraniu traktatu pokoju z Augustem możnaby pomyśleć o poprawie jego losu. Tego kroku ze strony Szwecji nie można było lekceważyć, zwłaszcza, że mu towarzyszyli drobny zasiłek pieniężny, tak mile zawsze widziany w Wissemburgu.

Z tem wszystkiem dostatki nie przelewały się Leszczyńskiemu, i najdrobniejsza pomoc napawała go radością. W tym czasie gotów był rzec się tytułu królewskiego, gotów był uznać swojego rywala Augusta II-go i odwołać się do pośrednictwa Cesarza Piotra, byle tylko na podstawie tych ustępstw i ofiar mógł odzyskać dobra patrymonialne, a tem samem mógł przestać być wygnańcem. Łaskawy chleb na obczyźnie okazał mu się nie tylko skąpym, lecz i trudnym do przełknięcia. W tem upokorzeniu i wygłodzeniu tracił Leszczyński często poczucie taktu i miarę godności własnej, a zwłaszcza odbiegały go wszelkie zdolności dyplomatyczne. Pochlebając jednym, obrażał drugich, a w rzeczywistości z grona tych, którzy o jego losach rozstrzygali, nie potrafił zdobyć ani pozyskać nikogo. August II milczał uporczywie i okrutnie na wszystkie propozycje i ofiary Leszczyńskiego, Piotr Wielki zachowywał się względem nich zimno i obojętnie, a dwór wiedeński odpowiadał na nie komplementami śmiesznymi i nie znaczącymi. Jedynie dwory: szwedzki i madrycki żywiły dla sprawy Leszczyńskiego istotną sympatyę, ale

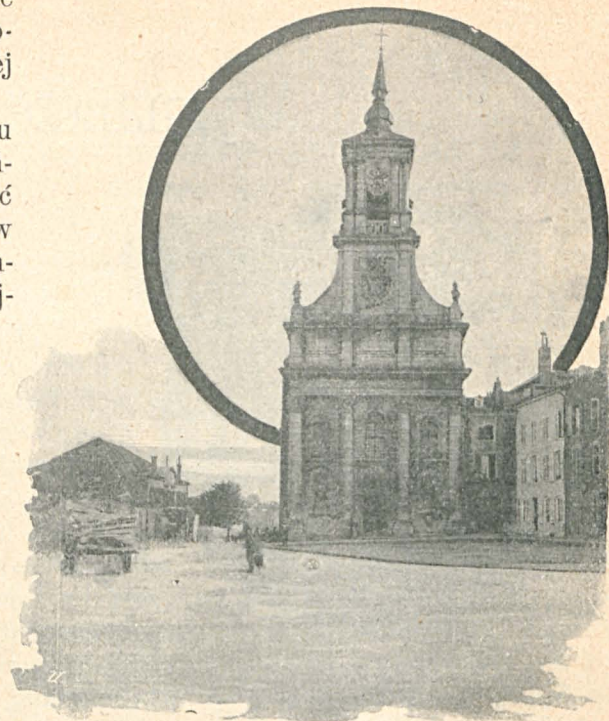
były prawie bezsilne i mogły jedynie zapobiedz jego głodowej śmierci.

W Wissemburgu przyszło też Leszczyńskiemu przebiedować sześć długich lat w oczekiwaniu daremnie jakiegoś jaśniejszego promienia. W ciągu tej doby pozostały mu z jego efemerycznego majestatu tylko troski i udręczenia, a nawet niebezpieczeństwa. Utworzył się bowiem jakiś spisek na jego życie, i jakiś rozbójnik najmita podjął się sprzątnąć go z tego świata.

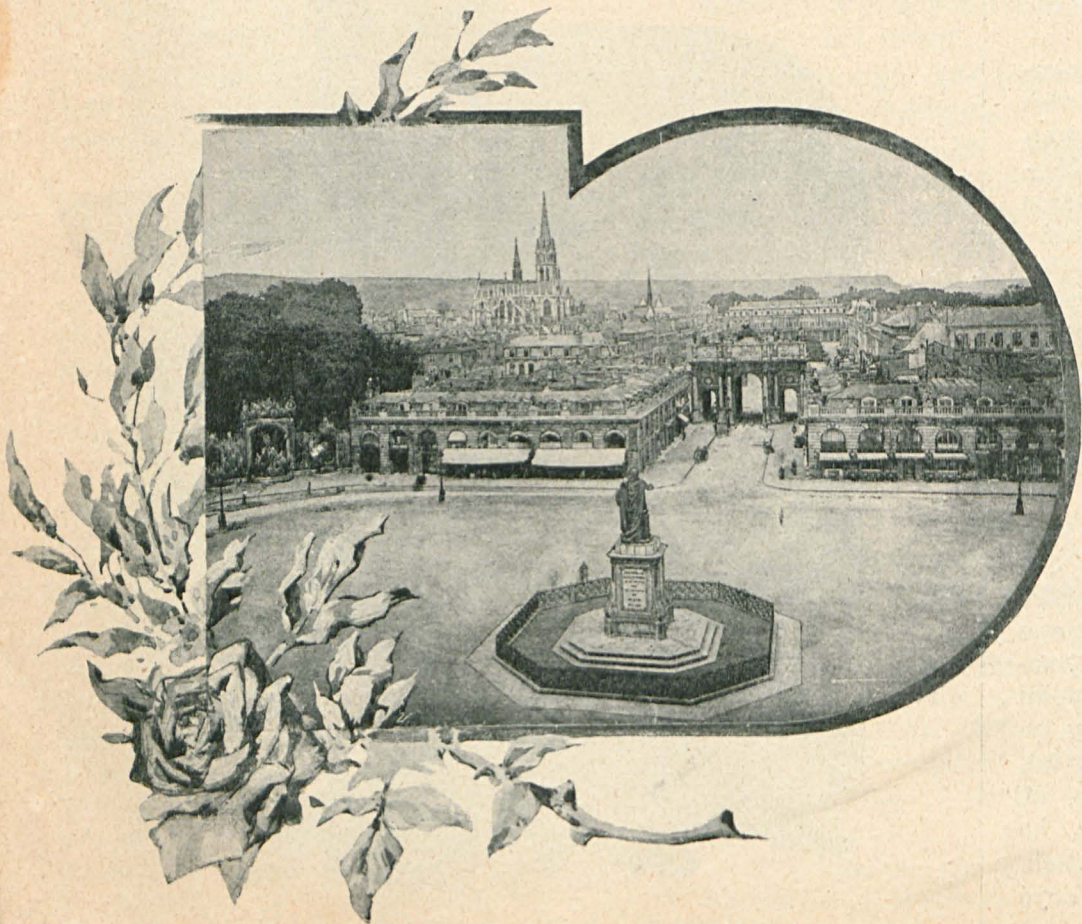
Rodzinie Weberów zawdzięczał jakieś takie pomieszczenie w Wissemburgu, ale bawiąc z żoną, córką i matką, musiał na każdym kroku myśleć wyłącznie o oszczędności. Z tem wszystkiem starano się w kółku rodzinnem zachować pozory miniatury domu królewskiego. Tarło odgrywał więc rolę ambasadora, Mniszek wielkiego marszałka dworu, a pięciu czy sześciu oficerów uzupełniało dwór królewski. Był wprawdzie jeszcze jeden domownik, Wimpf, uważany za pierwszego szambelana, drugi Biber, uważany za sekretarza, było wreszcie kilka dam dworu i dwóch księży, jeden Radomiński spowiednik i drugi Labiszewski, kierownik duchowny Maryi, córki Stanisława.

Szczęście domowe Leszczyńskiego nie płonęło w Wissemburgu jasnym i pogodnym ogniem. Stanisław, bawiąc jeszcze w księstwie Dwóch Mostów, stracił starszą i niezwykle dorodną córkę. Matka nie lubiła młodszej; po tej katastrofie rodzinnej stawała się dla niej z każdą chwilą obojętniejszą i chłodniejszą. Obejście prawie surowe matki oddziaływało niekorzystnie na usposobienie młodej i łagodnej księżniczki. Stawała się ona coraz lękliwszą, a ojciec, widząc, że w ognisku domowym za mało doznaje macierzyńskiego serca, powziął rozpaczliwą myśl śpiesznego wydania jej za mąż. W tem położeniu, w jakim się znajdował, o odpowiedniej partyi nawet pomyśleć nie było można. Peregrynacyjny majestat, przez którego purpurę przeświecało ubóstwo i troska, nie nęcił nikogo; daremnymi też były propozycje czynione w skrytości jednemu z Burbonów, potem księciu Badeńskiemu: wszędzie spotykał się Leszczyński z odmową, do której dołączano niekiedy trochę upokarzającej wyniosłości. Trzeba więc było obniżyć skalę wymagań. W Wissemburgu znajdował się wówczas kawaler de Louvois i komenderował pułkiem kawalerii; temu spodobała się księżniczka Marya i oświadczył się ojcu o jej rękę. Stanisław był z tego zdarzenia zupełnie zadowolony, położył tylko jeden warunek, aby Louvois został księciem i parem Francji, ale godności owe okazały się niedościgłymi dla pretendenta, i małżeństwo rozchwiało się zupełnie.

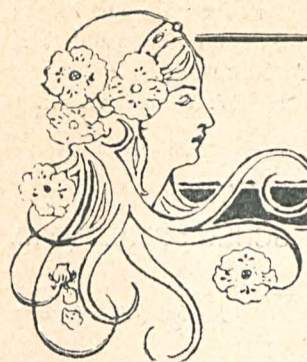
Stroskany Leszczyński myślał znowu o sposobach pogodzenia się z Augustem, gdy wtem nieprzewidziany wypadek nadał sprawom inny obrót. Małżeństwo Ludwika XV z infantką hiszpańską rozchwiało się. Nagłące racje stanu nakazywały ministrom starać się królowi o żonę, a wśród tych starań o księżniczkę musiano mieć względy na religię, zdrowie króla, pragnienia ludu, spokój wewnętrzny, zaufanie mocarstw zagranicznych i obawę przedsięwzięcia niebezpiecznych. Księżniczek, kwalifikujących się do małżeńskiej łóżnicy, nie brakło wówczas w Europie. Była ich nawet okrągła setka.



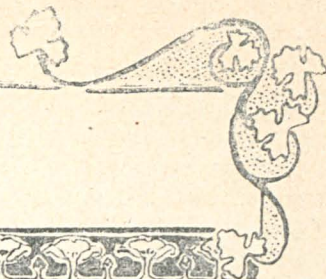
Kościół de Bon-Secours w Nancy.



Pomnik króla Stanisława Leszczyńskiego na placu Stanisława w Nancy



Na scenie i na estradzie.



Dwa miesiące blisko oddzielają ostatnią kronikę artystyczną od dzisiejszej, co pozwałam sobie zanotować nie dlatego, abym przypuszczał, że się ten przeciąg czasu wydał długim czytelnikom „Tygodnika,” lecz że mogę przy tej sposobności zaznaczyć stałe aż dwóch dramatów powodzenie, którego trwałość należy dziś do niezwykle u nas faktów.

Udała się „Otcłan” p. Koncewskiego, powiodła się „Księżna Marta” Wiktoryna Sardou; zainteresował utwór z wadliwą techniką i podobną się sztuką „dobrze zrobioną.” Gdy do tego dodamy, że obie rzeczy wybornie są grane, znajdziemy się wobec dość rzadkiego zbiegu przyjaznych dla teatru okoliczności, wśród których dramat oryginalny dzieli w słusznej mierze sukcesy z tłumaczonym, szkoła nowa i stara, różnemi idąc drogami, trafiają do publiczności tem, co zawsze będzie młodem—talentem; wreszcie wrażenie, wywarłe grą aktorów, dowodzi raz jeszcze prawdy, gdzieindziej oddawna już dowiedzionej, że umiejętny dobór sił wykonawczych będzie zawsze jednym z kapitalnych warunków powodzenia sztuki.

Zadowoleni są tedy autorowie, widzowie i artyści; do przyjemnych więc zadań krytyki należy wskazać motywy tego zadowolenia.

Wyda się to może paradoksem, ale nie waham się przypuścić, że dla publiczności, patrzącej na „Otcłan,” jednym z takich motywów mogło być w części to, co na wstępie przy wzmiance o tym dramacie nazwałem „wadliwą techniką.” Uderzające istotnie usterki w budowie sztuki p. Koncewskiego wyglądają niekiedy jak coś rozmyślnego; czy i o ile tak jest—trudno orzec, mając do czynienia z pierwszym utworem poczynającego autora.

Pan Koncewski jest młodym pisarzem, usterki zatem w konstrukcji scenicznej mogą być wynikiem zwykłej w początkach niezaradności; z drugiej jednak strony silne tętno życia, pulsujące nawet w tych brakach architektonicznych, dają dużo do myślenia. Że wejścia i wyjścia osób, w dramacie działających, nie są dostatecznie umotywowane—to spostrzeże każdy od pierwszego rzutu oka; że fragmenty rozmowy, rozpoczynane niewiadomo dlaczego, rwą się też nagle bez widocznie uzasadnionej przyczyny—to również nie jednego uderzy; ale na co trzeba zwrócić baczniejszą uwagę, to na rodzaj wrażenia, jakie się odbiera, kiedy te figury przypadkowo niby snują się po scenie; kiedy te urywki dialogu, strzępiąc się tu i owdzie, jakby bez planu, zostawiają jednak po sobie jakiś wyraz, czasem tylko akcent, albo nawet niedopowiedzenie, przyczyniające się do charakterystyki ludzi, rzeczy lub wypadków. Wszyscy zdają się tam mówić i obracać, jak się komu podoba, bez żadnej od autora w słowie i w ruchu zależności; i jest w tem pewien wdzięk realnego obrazu, jest w tem pewna siła jakby bezpośredniej rzeczywistości, której jednak nie pozwala stać się pospolitą kopią dnia powszedniego—dIALOG sceniczny.

I tu właśnie kończy się młodość i niedoświadczenie p. Koncewskiego; tu objawia się pisarz prawie dojrzały, władający bystrzej, przenikliwie językiem teatralnym od wielu zupełnie dojrzałych autorów, malujący człowieka i jego duszę, przedstawiający spłoty uczuć i wyniki z nich sytuacje ręką pewną, w rysach powściąg-

liwych nazewnątrz, a głębokich nawewnątrz, wytwarzający w swoim dramacie ze szczegółów pozornie zbytecznych atmosferę psychologiczną, która ogarnia widza niepostrzeżenie i w opornym żywe budzi zajęcie.

Bo opiera się do pewnego stopnia publiczność tej nastrojowej psychologii, znalazłszy się w sferze stosunków, które w gruncie rzeczy mało kogo obchodzić mogą. Komedia szachrajstw bankierskich, dramat sprzeniewierzenia, odgrywający się między sprytnymi mniej więcej fałszerzami—co tu właściwie może być interesującego? Zapewne; tylko że ta zgnilizna nurtuje u dołu rodzinę, a u góry zagraża sprawom publicznym, spychając życie prywatne, społeczne, polityczne w jedną „otcłan” zepsucia—i w tem tkwi tragizm sytuacji, w której niewiadomo co jest skutkiem, co przyczyną i w jaki sposób pierwiastki rozkładowe, krzyżując się w różnych kierunkach, niszczą wszystko po drodze. Czy Podosocki dla tego stał się złym mężem, pracującym nad nieprawieniem na własną korzyść kuzynki swej żony, że jest oszustem w przemyśle i finansach, czy też dlatego wyżył się wszelkiej etyki w interesach, że w domu żadnej nie uznaje moralności? Nad tem widzę zastanawiać się nie ma czasu, bo mu w tak plastycznych odmianach przedstawiono skojarzenie tej dwoistej niemoralności, że ani się spostrzegł, kiedy wybrnąwszy ze zwalniających tempo, lecz niezbędnych do akcji specjalizmów handlowych, zaczął zajmować się ze współczuciem lub oburzeniem losami bohaterów, szamocących się w „otcłani.”

Więc sympatyę jego zdobywają przede wszystkim ofiary szalbierza w wielkim stylu: żona Podosockiego, wcielenie prawości dumnie zrezygnowanej; brat jej, zdemoralizowany przez szwagra dekadent, w którego duszy rozwichrzona sztuczna anarchia, odzywają się, ocalałe gdzieś głęboko na dnie, struny uczciwości; wreszcie ta płocha dziewczyna, psuta w celach rozpusty zmysłową lekturą i lubieżnymi rysunkami. Co się z nimi stanie? co w ich naturze ostatecznie odniesie zwycięstwo? Te pytania, nastrożające się coraz natężniej w miarę zbliżania się katastrofy, do takiego stopnia podniecają zaciekawienie publiczności, że każdy chętnie widzi na scenie Podosocką, Hanusza i Helenkę wtedy nawet, gdy się mniej potrzebnie do akcji mieszają, i przebacza autorowi nawet nadużycie efektów z dzieckiem, odgadując, że tu chodzi nietylko o ścisłość logiki scenicznej, ile o dodanie jeszcze czegoś znamienego do sytuacji, z której się dramat wywija.

A ta sytuacja przy końcu trzeciego aktu

jest już stanowczo zarysowana: odbędzie się w czwartym decydujący między złem a dobrem pojedynek; stary Hanusz, uosobienie męskich cnót dawnego autoramentu, z dowodami w rękę zmiażdży przeniewiercę i wydobędzie z otcłani to, co się z niej jeszcze da ocalić. Scena między teściem a zięciem napisana jest świetnie; bije z niej siła moralnego zdrowia, i trzeba widzieć, z jaką satysfakcją widz poddaje się tej sile, z jaką uciechą przygląda się w akcji rozstrzygającym momentom tej samej walki, którą już śledził w charakterach! Zmusić publiczność, bałamuconą hasłami modernistycznej etyki do przykłaśnięcia rozwiązania, w którym po staremu „zbrodnia zasłużoną odbiera karę”—toż to tryumf nielada dla młodego autora!

Do tego tryumfu, niezależnie od niewątpliwego talentu pisarza, dzielnie p. Koncewskiemu dopomogli artyści, grający w „Otcłani.” Sztuka, starannie przez p. Ładnowskiego wystawiona, wywiera silne wrażenie w tych zwłaszcza scenach, gdzie rysują się charaktery Podosockiego i obu Hanuszków, ojca i syna; więc p. Żelazowski, pp. Rapacki i Śliwicki najsutsze zbierają oklaski. Z pośród bledszych ról kobiecych pani Trapszo-Chodowiecka żywo i z temperamentem wyodrębnia postać Helenki, a pani Federowiczowa ze szczerem, tklivem uczuciem przedstawia żonę Podosockiego.

Inaczej zajęła publiczność „Księżna Marta.”

W Wiktorynie Sardou jest, jak wiadomo, dużo Scribe'go; ale jest też trochę Gaboriau. Autor „Dory” lubi kryminalne dramaty, dochodzenia sądowe, pościgi policyjne i cały ten przybór śledczy, potęgujący napięcie efektów scenicznych. Typem dramatu całkowicie na takich motywach zbudowanego, jest „Ferreol”; cząstkowe sprężyny podobnego rodzaju spotkać można w sztukach z innego wysnutych tematu („Nasi poczciwi wieśniacy”); wystawiona u nas niedawno „Księżna Marta” do tej ostatniej należy kategorii i działa na widzów zręczną kombinacją scen, zazębiających się wzajemnie, jak kółka dokładnego mechanizmu, w którym charaktery częściej służą sytuacyom, aniżeli sytuacje wynikają z charakterów.

Syn gubernatora jednej z południowych prowincji Włoch stał się ofiarą morderstwa, o które narzeczona jego, księżna Marta, na podstawie poszlak, zdobytych przy wstępem śledztwie, posądza hrabiego Perettiego, w przyjaznych z zabitym żyjących stosunkach. Niespodziany wyjazd hrabiego do Francji przenosi całą akcję dramatu do Paryża, gdzie księżna chwyciła się najsuk-

teczniejszego sposobu wydobywania tajemnicy z domniemanego zabójcy—rozkochała go w sobie. Tajemnica jest bardzo prosta: hrabia zabił istotnie przyjaciela, przydybawszy go na schadzce ze swoją żoną, ale zabił go, broniąc się sam od napaści zdrajcy. Gdy jednak prawda wyszła na jaw, jest już za późno; hrabia wyznał ją u księżny na nocnej schadzce miłosnej, która stać się dla niego miała zasadzką; jedynie więc kochanka mogła go uratować przed mścicielką, przechowując u siebie do rana z poświęceniem czci niewieściej. Tylko że ratunek chwilowy nie powstrzymał dalszego biegu denuncjacji; i kiedy księżna, zaplątana we własne sidła, rozgorzała prawdziwą dla hrabiego miłością, gdy ułaskawienie królewskie zdaje się otwierać przed kochankami pogodne widnokręgi, wtedy właśnie, jak piorun z jasnego nieba, spada na hrabiego wiadomość o uwięzieniu brata, o jego tragicznej śmierci w lochu zalanym wodą, i o zgonie matki pod tym straszli-

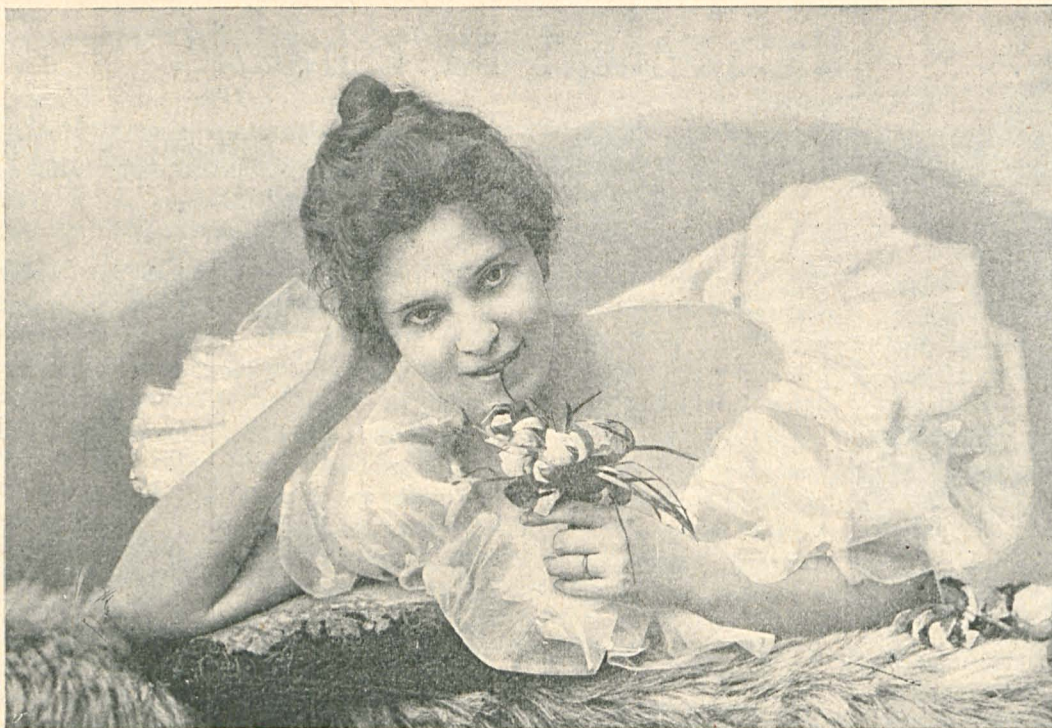


wym ciosem. Są to ofiary mściwego szaleństwa księżny, która teraz, uprzedzając chwilę, kiedy będzie musiała stanąć przed ubóstwianym człowiekiem w postaci potwornej donosicielki, wypija truciznę.

Sztuka, stworzona dla sytuacji, jest nadto, jak to widać z treści, sztuką napisaną dla aktorki, i to jej zapewniło rozgłos na europejskich scenach, dając najznakomitszym artystkom wdzięczne do popisu pole. U nas tytułową rolę objęła pani Marczello-Palińska i przedstawiła swój talent w nowym prawie świetle, opanowawszy szczęśliwie skłonny do wybuchów temperament, a opierając umiejętnie psychologię bohaterki na skupionej namietności, w której z subtelnymi odcieniami i z doskonałą plastyką ujawnia się wspólne na dnie serca kobiecego źródło nienawiści i miłości. Momenty, gdy te dwa uczucia walczą z sobą, to znów przenikają się wzajemnie, były oddane znakomicie, a ostatnie sceny trwogi śmiertelnej przed gromem, którego błysk rozświeca ma całą prawdę, tragiczne wywarły wrażenie. Małą, ale pełną wyrazu rolę dekadentki hrabiny wytwornie gra pani Lüdowa, a pan Żelazowski, dotrzymując placu głównej bohaterce jako hrabia Peretti, wykazał też w wystawieniu sztuki zdolności pierwszorzędного reżysera.

Odłożony na parę tygodni benefis Józefa Grzywińskiego odbył się z innym programem, niż poprzednio projektowano. I dobrze się stało, że jubilat zamiast w postaci hrabiego brazylijskiego w „Montjoye” przedstawił się licznie zgromadzonej publiczności jako Radost w „Ślubach pańskich”. Najlepsza to rola Grzywińskiego; słusznie więc benefisant streścił w niej swoją trzydziestoletnią pożyteczną pracę, za którą mu też nie szczędzono sympatycznego okłasku.

Resztę poranku wypełniły dwie jednoaktówki: Schnitzlera „Towarzyszka” i Vrchlickiego „Świadek”. Obie dotychczas nie ukazały się na wieczornym przedstawieniu, czego dla „Towarzyszki” jedynie żałować można, gdy bowiem jednoaktówka czeskiego poety jest tylko jaskrawym malowidłem, w którym temat wiarołomstwa w społeczeństwie a obojętnie dla widza rozwija się w kilku scenach, obrazek Schnitzlera zajmuje subtelnością rysów i dyskrety barw, utrzymanych w samych półtonach. Zdrada żony, ujawniająca się wobec nas po jej śmierci, nie była dla męża tajemnicą; wiedział i milczał, bo mu się zdawało, że musi odpokutować za wielką różnicę wieku, na którą, żeniąc się za późno, powinien był zwrócić uwagę; milczał, bo wierzył, że kochankowie kochali się szczerze, głęboko, — a tu naprzód od amanta dowiaduje się, że od dwóch lat, t. j. w ciągu trwania romansu zaręczył się był z kim innym, a potem przyjaciółka zmarłej odbiera łatwomieremu resztę złudzenia i objaśnia go, że żona wiedziała o tem narzeczeństwie. Więc cóż ją do złamania wiary skłoniło? co kochanków w objęcia popchnęło? Odpowiedzi na te pytania szukać trzeba w sceptycznie melancholijnym uśmiechu Schnitzlera, umiającego z różnicy między miłością a miłością tragiczną nawet wydobyć motywy. Na naszej scenie w grze artystów uwidatniła się subtelnie ta smętne ironiczne fizyognomii talentu pisarza, który miał doskonałych tłumaczy w pani Lüdowej, oraz w pp. Żelazowskim i Śliwickim.



Wanda Siemaszkowa.

Fot. J. Sebald w Krakowie.

Pierwszą nowością w repertuarze lirycznym na scenie teatru Wielkiego była opera Czajkowskiego „Dama pikowa”. Podobnie, jak w „Eugeniuszu Onieginie” przemawia tam znakomity kompozytor naprzemian poezją pieśniarza i symfonisty, w rzadkich tylko momentach kojarząc te dwa twórcze pierwiastki w dramatycznej syntezie. Prawda, że niedołążne libretto utrudnia wielce muzykowi to zadanie, a siedm aktów, wysnutych z kilkukartkowej noweli Puszkina, w pstrociźnie swojej, luźno zaledwie z treścią związanych, powoduje tylko rozpraszenie siły twórczej Czajkowskiego na rodzajowe obrazy, zamiast ją skupiać w jednolitym dramacie. W najbardziej wstrząsającej scenie zjawienia się nocą Hermana u starej hrabiny, w celu wydobywania od niej tajemnicy trzech szczęśliwych kart, cały dramat przenosi się do orkiestry — i inaczej być nie może. Namietność gracza, dybiącego na szulerski sekret, nie interesuje nikogo, ale przenikniony trwogą i groźbą nastroj sytuacji nastrocza symfoniście obfitość motywów, które Czajkowski genialnie kombinuje.

Znać w tem twórcę VI Symfonii, tego areydziała patosu, ogarniającego całą psychologię duszy wszelkimi dręczącymi cierpieniami. Wielki ten utwór słyszeliśmy niedawno, wykonany wzorowo w teatrze na koncercie symfonicznym pod kierunkiem dyrektora Młynarskiego. Koncerty symfoniczne zdobywają sobie słuchaczy z wolna, ale stale; będzie to zapewne zawiązek publiczności dla Filharmonii, która, nie wątpimy o tem, coraz szersze potrafi zgromadzić audytorium.

Zresztą pora popisów estradowych niezupełnie się jeszcze ustaliła: sezon zaczyna się dopiero ożywiać, a jednym z momentów tego ożywienia będzie niewątpliwie zapowiedziany na poniedziałek w sali ratuszowej koncert pani Wandy Siemaszkowej.

Utalentowana artystka dramatyczna więcej dała się dotychczas poznać w Warszawie jako deklamatorka, niż jako aktorka; bez wątpienia więc przed liczną zaprodukuję się publicznością koncertową, zwłaszcza, że estradzie ma nadać ponieważ charakter sceny, występując we fragmencie ze sztuki Kisielewskiego „W sieci”. Ten występ, kojarzący w sobie temperament teatralny i wirtuozostwo deklamacyjne, będzie ze wszech miar zajmujący i obudzi prawdopodobnie zainteresowanie szerszych kół, wśród których oceniono należyte talent pani Siemaszkowej. W programie

koncertu figurują nazwiska pań: Salomei Kruszelnickiej i Zofii Naimskiej.

W. BOGUSŁAWSKI.



STANISŁAW

SCHNÜR-PEPŁOWSKI.



Lwów, 16 listopada.

Lat temu piętnaście z okładem, z rozmarzoną głową, z sercem gorącym i wierzącym, bo — młodem, wstępowałem w życie akademickie. Zapisawszy się na uniwersytet we Lwowie, zaciągnąłem się niezwłocznie do „Czytelnicy akademickiej”. Mieściła się ona wówczas przy placu Chorażczyzny, ponad znaną do brzo Lwowianom „łaźnią Duchńskiego”.

Czytelnia przebywała wtedy chwilowe przesilenie materyalne, gdy zatem wieczorem, w zadymionych po studencku pokojach zbieraliśmy

się wszyscy, którzy pragnęliśmy przywrócenia jej dawnej siły, rozprawialiśmy gorąco na ten temat. Tym, który nas skupiał, zagrzewał do pracy i zapalał nasz na praktyczne tory sprowadzał, był starszy od nas kolega, o silnej, prawie herkulesowej budowie, dużej, lecz zgrabnej głowie, o twarzy ocienionej bujnym, jasnym zarostem, o rysach niemal delikatnych z marzącymi niebieskimi oczyma, których wówczas jeszcze szkła tak często nie zakrywały, jak później. Był to Stanisław Schnür-Peplowski, w r. 1882 prezes czytelnicy, a później prezes i dusza jej „Komisyi likwidacyjnej”, która, uporządkowawszy rachunki Towarzystwa, pościagała zaległe należności i byt Towarzystwa pozwoliła nanowo oprzeć na silniejszych podstawach.

Wówczas to już Peplowski budził w nas poszanowanie dla siebie swą żelazną pracowitością, spokojem, łatwością, z jaką przyjmował na siebie i spełniał najsumienniejsze i zmusne obowiązki, żelazną wolą, darem organizacyjnym i energią.

Chociaż młodzi, umieliśmy już uznać praktyczne znaczenie i zasadniczą wartość tych niepospolitych przymiotów.

Później, życie niejednokrotnie nas jeszcze sprowadzało razem przy wspólnej robocie, to dzien-

nikarskiej, to literackiej i dzisiaj z uczuciem prawdziwego zadowolenia myślę o tem, że pierwsze odniesienie do poznania pła- nie do nigdy, a utr- j- w- B- stematyczność w pracy, energia, żel- sumiennność Peplowskiego nie tylko nie z czasem, ani się nie rozbiły o osobiste i za-



Stanisław Schnür-Peplowski.

wody, jakimi życie każdego jest wypełnione, lecz przeciwnie urosły w wybitne cechy jego charakteru, najświetniejsze, bo—najrzadsze u nas.

Czego ten człowiek się podjął, tego z pewnością dokonał. A pracował cicho, nie szukając łatwego rozgłosu i zdawkowej sławy.

Po opuszczeniu ławy uniwersyteckiej, przez dziesięć lat trwał w zawodzie dziennikarskim; o tem, że pracował najlepiej, nie trzeba dodawać, a że był dzwignią dziennika, w którego redakcyi zasiadał, to przekazał kiedyś potomności dzieje publicystyki galicyjskiej. Jego recenzje teatralne, pisane z temperamentem, choć nieraz ostro, oddziaływały wówczas niemało na rozwój sceny lwowskiej.

Rozstawszy się z biurkiem redakcyjnym, tem niepodzielniej oddał się pracy naukowo-literackiej. Już dawniejsze studia biblioteczne przygotowały go do niej, a zamiłowanie w dziejach zwłaszcza gorąca miłość rodzinnego kraju i miasta wskazywały mu najbliższy cel tej pracy.

Te same przymioty, które cechowały go w każdej innej dziedzinie jego działalności wycisnęły piętno i na jego pracy naukowej, literackiej. Nie był to umysł o bogatej fantazyi twórczej czy artystycznej, ale za to prace jego posiadają nieocenioną wartość źródłowego materiału, sumiennego przestudyowania przedmiotu, wyzyskania źródeł, bezstronnego, spokojnego przedstawienia rzeczy. Pilność i pracowitość jego sprawiły, a nadzwyczajna pamięć dopomogła, że opanował on, jak mało kto, rozmaite szczegóły z życia Galicyi i Lwowa po r. 1772—to też dzieła jego takie, jak „Z przeszłości Galicyi (1772—1862)“, jak „Teatr polski we Lwowie“ (1790, 1881, 1890), „Cudzoziemcy w Galicyi (1787—1841)“, to rzeczy, mające wartość istotną i trwałą, których nikt nie będzie mógł pominąć, komu przyjdzie pisać o wypadkach lub sprawach, poruszonych przez Peplowskiego; w szczególności dwa pierwsze z wymienionych posiadają istotną, wielką wartość naukową.

Nie myślimy wyliczać wszystkich dzieł Peplowskiego, które jeszcze przed kilku laty, gdy p. F. Koneczny pisał o nich w jednym z krakowskich przeglądów, tworzyły już dwadzieścia kilka tomów. Po części są to luźne studia literackie lub historyczne, które ukazywały się naprzód w dziennikach lwowskich lub krakowskich, a następnie, łączone w pewną całość, wychodziły osobno. Powstawały one po części dzięki temu, iż Peplowski znał właśnie tak dobrze przeszłość Galicyi, że o każdym ważniejszym przedmiocie lub każdej ważniejszej postaci, czy to historycznej, czy literackiej, mógł być niemal na zawołanie dostarczyć dat i artykułu; był też jedynym w swoim rodzaju literackim ilustratorem współczesnej doby w oświetleniu niedawnej przeszłości, jedynym w swoim rodzaju popularyzatorem dziejów naszych.

Pod pewnym względem przypominał on nieocenionych naszych literatów-dziennikarzy z pierwszych dziesiątków bieżącego stulecia: był jak oni urodzonym wydawcą. Rzuciwszy dziennikarstwo, nie mógł wyrzec się pociągu do publicystyki, rozporządzając ogromnym talentem organizacyjnym, oba te przymioty łączył, ilekroć miał

sposobność do zaspokojenia swych skłonności wydawniczych. To sprawiło, że np. choć niekompetentny w sprawach przemysłu nalcianego, podjął się redakcyi czasopisma „Naf-ta“ i w rzeczywistości potrafił wydawnictwo to znacznie ulepszyć; że dalej zorganizował wydawnictwo miesięcznika, a potem dwutygodnika „Iris“, jako organu Koła literacko-artystycznego we Lwowie, nie szczędząc przytem, mówiąc nawiasem, osobistych ofiar materialnych; że podejmował i przeprowadzał z powodzeniem rozmaite aktualne wydawnictwa we Lwowie, jak np. w swoim

czasie wydawnictwo „Na Szlask“, a w ostatnich czasach—niedokończone „Na powodzian galicyjskich.“ Przy tem wszystkim był nieocenionym i niezastąpionym sekretarzem lwowskiego Towarzystwa dziennikarzy polskich, oraz Koła literacko-artystycznego, a pracował z poświęceniem się w każdym Komitecie, który tylko zażądał jego pomocy. Jednem słowem, był to człowiek prawdziwie pożyteczny. Mało takich ma społeczeństwo galicyjskie, a że liczył zaledwie lat 41 i mógł pracować jeszcze długo, więc szkoda go, serdecznie go szkoda. Marzących, smutnych oczu jego nie zapomni nikt, kto go znał bliżej. Uspokojenie jego, zamknięte i milczące, nie rozgrzewało otaczających go, ale te oczy smutne i marzące wywierały wpływ silny na wszystkich, tłómaczyły psychologiczną zagadkę, jaką był ten niezwykle celownik. Szkoda go. Odszedł od nas przedwcześnie. Niech mu ziemia będzie lekka.

W dniu 16 listopada po południu złożono zwłoki jego na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Odprowadziła je na wieczny spoczynek cała drużyna dziennikarska i literacka lwowska, a wśród zapadającego już zmroku wczesnego, jesienno-wieczoru, pożegnali trumnę nad otwartą mogiłą w wymownych słowach: prezes Towarzystwa dziennikarzy Liberat Zajackowski, prezes Koła lit.-art. dr. Józef Wereszczyński i akademik Cepnik.

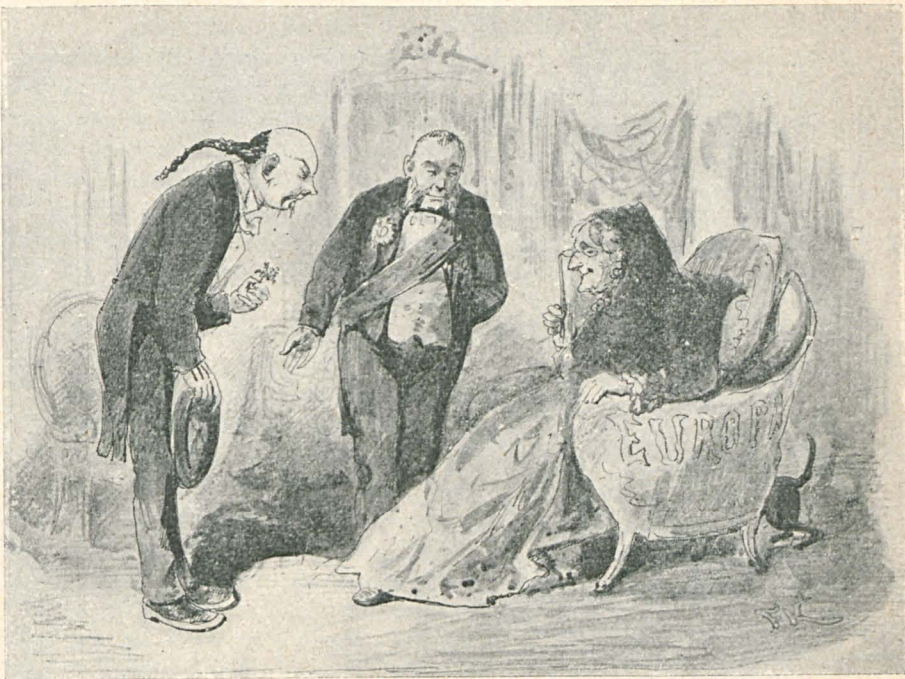
Potem ziemia rodzima przykryła zwłoki dzielnego pracownika na ojczystej glebie. ab.



Nasze ryciny.

Obrazy Ajdukiewicza. W numerze dzisiejszym czytelnik spotka artykuł specjalny o działalności artystycznej Tadeusza Ajdukiewicza, któ-

Z TEKIHUMORYSTYCZNEJ FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO.



W SALONIE ANGIELSKIM.

— Pan Baks King z dalekiego Wschodu...
— Bardzo mi przyjemnie...

rego obrazy znajdują się obecnie na wystawie w salonach Aleksandra Krywulta. Jako ilustrację tej działalności, „Tygodnik“ zamieszcza parę reprodukcji z prac Ajdukiewicza. Naprzód tedy mamy wielki obraz *Rewia wojsk rumuńskich w obecności króla Karola i cesarza Franciszka Józefa*. Rozbiór szczegółowy tej pracy czytelnik znajdzie w artykule Zygmunta Sarneckiego. Prócz tego zamieszczamy jeden z obrazów charakterystycznych, wystawiający postać Kurda na koniu. Postać ta występuje na tle kolorytu miejscowego, zachowując wszystkie właściwości rasy i kostiumu.

Alfred Nossig: *Żyd wieczny tułacz*. Załączona rycina jest reprodukcją z rzeźby p. Alfreda Nossiga pod nazwą: „Żyd wieczny tułacz.“ Autor, jednocześnie poeta, publicysta, rzeźbiarz etc., zużytkowuje tu znany powszechnie motyw legendarny o Ahaswerze, skazanym na życie wieczne na ziemi, za odmówienie pomocy Chrystusowi. Legenda ta brzmi i rozmaicie, w różnych odmiankach. W literaturze „wyzyskiwa-no ją niejednokrotnie, za każdym razem inaczej przedstawiając postać Ahaswera, stosownie do intencji i indywidualizmu autora. P. Nossig usiłował w rzeźbie swojej dać wyraz cierpieniu duchowemu, nieodłącznemu od tułactwa.

Max Klinger: *Droga*. Jest to reprodukcja jednej z akwafort Maxa Klingera, wystawionych świeżo w salonie artystycznym Aleksandra Krywulta. W pracy tej znakomitego artysty uderza nas nadzwyczaj staranne traktowanie szczegółów, a jednocześnie umiejętność wywołania nastroju. Rzecz ta, rozpatrywana czy jako całość, czy też w szczegółach, przedstawia się znakomicie. Znać w niej człowieka, który środkami swej sztuki włada z absolutną pewnością.

Kronika powszechna.

Wiedeń.

„Finl. Gaz.“ ogłasza, że generał-gubernator zawiesił wydawnictwo dziennika „Was-sa“ za artykuły: „Pawilon ch...“ na wystawie paryskiej i „Z po-

wodu zamknięcia gazety „Aften-posten.“ Na trzy miesiące zaś zawieszono wydawnictwo „Päive lehti“ za artykuły: „Krawcy wypowiedzieli swój pogląd“ i „Robotnicy i ojczyzna.“ Magistrat warszawski otrzymał od

ministerjum spraw wewnętrznych zezwolenie na oddanie gruntu przy ulicy Marszałkowskiej pod budowę nowego kościoła rzymsko-katolickiego pod wezwaniem Zbawiciela.

Kuratorowie okręgów naukowych

otrzymali prawo samodzielnego otwierania szkół jedno i dwuklasowych z asygnowanych do ich rozporządzenia sum na utrzymanie szkół ludowych.—„Gazeta finlandzka“ ogłosiła okólnik generał-gubernatora o prowadzeniu od dnia

1 stycznia (st. st.) r. 1901 wszelkich korespondencji gubernatorów z generał-gubernatorem i jego kancelaryą w języku państwowym.

Z literatury.

Adam Krechowiecki, ukończywszy pracę nad powieścią historyczną „Fiat lux,” którą *Tygodnik* właśnie na szpaltach swych drukuje, przystąpił do pracy nad czwartym tomem swego cyklu powieści historycznych: „O tron.”

Z prasy polskiej.

Prawda: „Opieka społeczna;” „Obłąkani i dotknięci rozstrojem nerwowym” przez Zen. Piet; „Przyczynki do prahistorji polskiej” przez Ludwika Krzywickiego. — **Niwa Polska:** „Febris Pasquilina” (w kwestji walki z rozszerzającą się coraz bardziej chorobą paszkwilantów); „Brednie „Izraelity;” „W imieniu zawiedzionych.” — **Kuryer Codzienny** będzie dodawał w roku przyszłym 12 tomów powieści Kraszewskiego. — Po kilkoletniej przerwie wyszedł nowy zeszyt *Encyklopedji wychowawczej* (III tomu V) i zawiera między innemi „Gramatyka polska” przez B. Bieńkowskiego; „Gramatyka francuska” przez Amborskiego; „Gram. niemiecka” przez K. Rowieńskiego; „Grecya,” Gregorowicz, Grodeck, Gry i zabawy, „Grzegorz z Sanoka” przez Piotra Chmielowskiego; „Grzepski” p. Dicksteina etc. — Członek redakcji *Kuryera Codziennego*, p. Leon Bogdanowicz (Antoni Łada) otrzymał koncesję na wydawnictwo ilustrowanego pisma tygodniowego, poświęconego wyłącznie pracy i działalności domowej kobiet, p. t. „Dobra Gospodyni.” Nowe pismo jest pierwszym tego rodzaju tygodnikiem, który zawierać będzie cały zakres pracy domowej kobiet, poczynając od skrojenia i uszycia sukni, a skończywszy na hygienie domowej i fizycznym wychowaniu dzieci. „Dobra Gospodyni” będzie pismem ilustrowanem i zacznie wychodzić z d. 1 stycznia r. p. — **Świat Artystyczny** podał w numerze 3-m (z d. 1 listopada) dwa portrety Benvenuto Celliniego: jeden według malowidła na porfirze, znajdującego się w zbiorach Cluny w Paryżu, drugi malowany olejno przez Caraccięgo na ścianie Signoriny florenckiej. Twarze tych portretów różnią się wielce typem i wyrazem. „Moglibyśmy sobie — pisze prof. Gerson — postawić pytanie: który z nich odpowiada wyrazowi i pojęciu, jakie sobie urobiliśmy na podstawie informacji, jakich nam autobiografia Benvenuto udziela o jego fizjognomii.” Redakcja „Świata Artystycznego” stawia to pytanie do czytelników i prosi ich o nadsyłanie odpowiedzi w ciągu dwu tygodni pod adresem redakcji (Obożna N-r 5, m. 7). Odpowiedzi będą ogłoszone w n-rze 5-ym „Świata Artystycznego.” Za najlepiej wymotywowane zdanie redakcja ofiarowuje abonament kwartalny swego pisma w oprawie i traktat o malarstwie Leonarda da Vinci w przekładzie polskim.

Życie społeczne.

W Zakopanem otwarto zakład dla młodzieży męskiej, mający na celu ułatwienie jej nauki prywatnej podług programów szkół publicznych w połą-

czeniu z fizycznym jej wzmacnianiem. Właścicielem zakładu jest p. Ludwik Szweiger. — W Poznaniu utworzył się związek ziemian polskich, mający na celu ratowanie ziemi od kolonizacji. Na prezesa związku obrano ks. Marcelego Żółtowskiego. — Wystawa paryska zamknięta została d. 12-go b. m. Przez cały siedmiomiesięczny okres jej istnienia zwiedziło ją 55 milionów osób, z tych 49 milionów za biletami wejścia.

Ze sztuki.

Wystawa obrazów dawnych malarzów otwarta została w Tow. Przyj. sztuk pięknych w Sukiennicach, w Krakowie, staraniem hr. Mycielskiego, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego. Wystawa zawiera szereg obrazów flamandzkich, holenderskich, francuskich i niemieckich, przeważnie z w. XVII i XVIII. Piótna te są własnością prywatną. Znajdują się między niemi dzieła Govaerta Flinck’a, Gerarda Dou, Dawida Teniers’a młodszego, Abrahama de Vries, Józefa Grassi’ego i t. d. „Związek Przyjaciół Zakopanego” zwrócił się do syndykatu dla eksploatacji patentów tkackich Szczepanika, w sprawie uwzględnienia rodzimych pierwiastków estetycznych w wyrobach fabryk syndykatu. Z uwagi, że pierwiastki sztuki rodzimej tkwią w motywach zakopiańskich, „Związek” przedstawia syndykatu prośbę o jak najszybsze wprowadzenie tych motywów do wyrobów fabrycznych syndykatu.

Polityka.

Parlament niemiecki równocześnie z francuską Izbą deputowanych przystąpił do rozpraw nad kwestją chińską. Nowy kanclerz hr. Bülow sam odrazu przemówił, starając się uzasadnić i usprawiedliwić żądanie zatwierdzenia kredytów dodatkowych na pokrycie sum, wydanych już na wyprawę chińską. Korzystam — mówi — z pierwszej sposobności, aby się wypowiedzieć przed wysoką Izbą w sprawie, która dziś najwięcej skupia na sobie zainteresowanie powszechne. Nie o wszystkim — wobec toczącej się akeji państw — można jeszcze mówić, ale będę tyle wyraźnym, ile tylko jest to możliwe (oklaski). Mówca rozwodzi się naprzód o sytuacji, która poprzedziła wybuch zaburzeń chińskich, przy-

czem, naturalnie, powtarza rzeczy wiadome. Uwagi godzien jest ustęp, w którym hr. Bülow odpięra zdanie wypowiedziane w prasie zagranicznej, że zajęcie Kiao-czao przez Niemców było bezpośrednią przyczyną wybuchu. Nie wierzę, — powiada mówca — aby taki zarzut mógł się odbić echem w parlamencie niemieckim. W dalszym ciągu mówca oświadcza, że Niemcy nie prowadzą wcale w Chinach polityki awanturniczej, lecz jedynie bronią swoich interesów i swego honoru, jak przystało na wielki naród. Niemcy nie mają zamiaru dążyć do podziału Chin i nie mają w tem żadnego interesu, nie prowadzą też polityki aneksyjnej i pod tym względem trzymają się granic traktatu z roku 1898. Z tych celów, jakie państwa wskazały dla obecnej akeji w Chinach, osiągnięto dotychczas tylko jeden, t. j. oswobodzenie posłów w Pekinie. Resztę trzeba dopiero osiągnąć, ale pomiędzy mocarstwami nastąpiło już porozumienie co do dalszych akeji. Mówca odczytuje znane nam już 11 punktów, obejmujące wymagania, jakie mają być zadyktowane Chinom, i zwraca się do izby z prośbą o zatwierdzenie poczynionych wydatków. Przy tem hr. Bülow umywa ręce od winy pominięcia parlamentu, składając ją na swego poprzednika, o którym zapewnia, że działał pod naciskiem konieczności i nie miał zamiaru obrażania parlamentu. Za siebie kanclerz ręczy, że będzie szanował prawa Izby. Wracając do akeji w Chinach, powiada mówca, że było niezbędnem zadaniem stawianie wobec Chińczyków przewagi oręża europejskiego, co się też stało, ale dla osiągnięcia celów potrzebne jest działanie szybkie. Omawiając w końcu powołanie generała niemieckiego na głównodowodzącego wojskami związkowemi w Chinach, kończy frazesem, że Niemcy nie myślą grać roli opatrności w świecie i nie uczynią nic, co do nich nie należy. Hohenzollernowie nie pójdą w ślady Bonapartych.

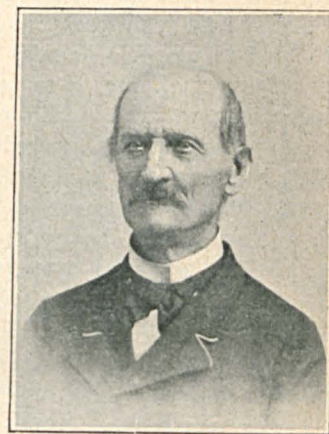
Z muzyki.

Tydzień ubiegły dostarczył muzycznej publiczności Warszawy wrażeń niemało. Środowy koncert Tow. Muzycznego uświetniła udziałem swoim

głośna śpiewaczka włoska, Nina Falliero. W sobotę wystąpił z koncertem własnym Józef Śliwiński i, usposobiony wyjątkowo, budził podziw i zachwyt mistrzowskimi zaletami gry swojej, więc uczuciem wyjątkowym, temperamentem ognistym i siłą polotu poetyckiego, które najwybitniej uwydatniały się w wykonaniu utworów Chopina. W niedzielę wreszcie artyści nasi składali ofiarę na ołtarzu miłosierdzia: odbył się koncert na rzecz Towarzystwa Dobroczynności, a wykonawcami programu byli: p. Krużelnicka i p. Floryński, p. Tekla Trapszo-Krywultowa, p. Frenkiel, Żelazowski i „Lutnia.”

Zmarli.

Konstanty Karnkowski. W dobrach dziedzicznych w Karnkowie, powiecie Lipnowskim, gub. Płockiej, zmarł niedawno jeden z najstarszych ziemian



Konstanty Karnkowski.

w kraju, ś. p. Konstanty Karnkowski. Była to postać rzadko dziś spotykana i nawszkroś typowa. Przywiązany bałwochwalczo do ziemi i pamiątek rodzinnych, niemal całe życie pracował nad wyszukiwaniem zabytków starodawnych, a gorliwie oddany archeologii krajowej, powiększył znacznie cenę swe zbiory, kompletując jednocześnie rzadkimi dziełami bibliotekę rodzinną w Karnkowie. Zmarły odznaczał się również wielką miłością dla ludu, dbając o jego byt i oświatę. Urodził się w Karnkowie w r. 1808. Początkowe nauki pobierał u kks. Benedyktynów w Pułtusku i u kks. Pijarów na Żoliborzu, a uzupełnił je w ówczesnym uniwersytecie warszawskim. Był kolegą Chopin’a, Zygmunta Krasińskiego, Gaszyńskiego, Magnuszewskiego, tej plejady ludzi, którzy się stali chlubą narodu. Ś. p. Konstanty pozostawił po sobie jak najlepszą pamięć i wzór prawdziwego obywatela. Cześć jego pamięci!

Antonina z Abgarowiczów Jaegermannowa padła ofiarą panującego we Lwowie epidemicznie tyfusu. Liczyła lat 40. Była żoną radcy dworu Antoniego Jaegermanna, który w czasie znanych przesilen w galicyjskiej w Kasie oszczędności pełnił obowiązki komisarza rządowego. Nabawiła się tyfusu, czuwając przy łóżku chorych dzieci.

Joanna German Chrzanoska, długoletnia artystka sceny Skarbowski, a poprzednio warszawskiej, zmarła we Lwowie 11 b. m., przeżywszy lat 57.



Ucieczka Europejczyków przed bokserami.

Według chińskiej gazety, wychodzącej w Szanghaju.

Siedemnaście lat we śnie.

Przed rokiem mniej więcej obiegła prasę zagraniczną wiadomość, że oficyalista kolejowy Dittrich, który w Naussnitz pod Dreznem w r. 1882 był podczas wypadku kolejowego poszwankowany (rany głowy i kontuzje), nie został jeszcze wyleczony z tajemniczej choroby: pogrążony w głębokim śnie, żyje już lat 17. Sprawa zajęła żywo sfery lekarskie, i grono doktorów



Dittrich.

stwierdziło, że Dittrich, we trzy miesiące po wyjściu ze szpitala, gdzie go z ran wyleczono, wpadł w tensen-ny stan i przez lat 17 leży bezwładny, bez słowa i ruchu. W czasie, gdy go obserwowano, ciągle drganie powiek i nieustający ruch mięśni twarzowych charakteryzowały obraz choroby, który poprzednio, skutkiem konwulsji, był jeszcze zawilśzy. Połykanie płynnych środków żywności następowało, skoro tylko łyżka dotykała języka. Z biegiem lat, Dittrich wychudł jak szkielet, na ciele miał rany od odleżenia; w czasie obserwacji zaś odzyskał nieco sił, i rany się zagoiły. Lekarze stali obec-

niezglebionej zagadki, stawiali i odrzucali kolejno wszelkie istniejące dyagnozy. Nagle w ubiegłym miesiącu powstała wieść, w jaki sposób, trudno sprawdzić w tym wypadku, jak zresztą przy każdej plotce, że Dittrich jest symulantem, oszustem, wyzyskującym pensję, i dobroczynność publiczną, która go hojnie zaopatrywała w datki. Wieści doszły do wiadomości władz, żandarmerya i prokuratura wdały się w tę sprawę i postanowiły, aby „śpiący“ Dittrich oddany został na tydzień pod surową obserwację lekarską w szpitalu. Dr. Quenzel, leczący chorego, wezwał wobec tego grono lekarzy i przedstawicieli prasy drezdeńskiej do mieszkania Dittricha w Naussnitz, i tu wszyscy mogli się przekonać, że chory symulantem nie jest; stosowano różne środki, między innymi tak silny prąd elektryczny, że gdyby chory istotnie symulował, ciało jego musiałoby reagować. Tymczasem Dittrich leżał bezwładny, przymykając, to znów otwierając oczy, prawa ręka tylko zachowywała nieco zdolności ruchu. Wobec tego lekarze uznali symulację za wyłączone. Nie stłumiło to jednak plotek; opowiadano sobie dalej, że Dittrich w nocy wstaje, a ludność miejscowa zachowywała się coraz nieprzyjaźniej względem rodziny nieszczęśliwego. Doprowadzona wreszcie do ostateczności żona Dittricha zastrzeliła męża, a sama powiesiła się, pozostawiając list, w którym wyjaśnia, że złość ludzka zniewoliła ją do rozpaczliwego czynu. Na zwłokach Dittricha dokonano sekcji lekarskiej, a ciekawy jej wynik będzie ogłoszony.

Kroniczka fotograficzna.

W sklepach z przyborami fotograficznymi zjawiał się wiraż barwny d-ra Stalińskiego, zwany Asco. Odbitki na papierach celloidinowych, traktowane tym wirażem, otrzymują w jasnych

miejscach zabarwienie, mniej lub więcej niebieskie, a w ciemnych brunatne. Z tego powodu dobrze wykończona fotografia wydaje się kolorową. Sposób tonowania jest odmienny, niż zwykle: wpraw się utrwała, a później tonuje. Wykończenie dobre wymaga pewnej wprawy. W pudełku, zawierającym płynny potrzebny do wirażu, znajduje się szczegółowy opis. Wł. K.

Odkrycia i wynalazki.

Znakomity fizyk szwedzki Arrhenius odkrył, że kwas węglany gazowy przepuszcza promienie ciepłe świecące, jest zaś nieprzezroczysty dla ciemnych promieni ciepła, które pochłania i wskutek tego sam się rozgrzewa. Działa więc kwas węglany podobnie, jak szyby cieplarni. Stąd wynika, że znaczniejsza zawartość kwasu węglowego na ziemi sprowadza za sobą podniesienie temperatury. Ta na pozór mało zajmująca obserwacja stała się dla meteorologa szwedzkiego Eckholm'a bodźcem do dalszych badań nad stosunkiem, jaki istnieje pomiędzy zawartością kwasu węglanego w atmosferze a zmianami klimatu w dawnych okresach geologicznych kuli ziemskiej. Eckholm dochodzi do wniosku, że można klimat ciepły u bieguna północnego, oraz okres lodowy w Europie wyjaśnić w sposób bardzo prosty nieznacznymi zmianami w zawartości kwasu węglowego w atmosferze ziemskiej. Eckholm jest przyjacielem André'go i zamierzał początkowo wziąć udział w wyprawie balonem do bieguna północnego. Wobec wątpliwości naukowych, jakie powziął w ostatniej niemal chwili co do powodzenia tej wyprawy, odstąpił wszakże od tego zamiaru.

Humor i satyra.

Wyjątek z listu.

„Jedynie jaki wypadek śmierci ożywia od kiedy niekiedy nasze ciche miasteczko.“

☆ ☆ ☆

Kosztowne słomiane wdowieństwo.

— Tegoroczna podróż żony do wód kosztowała mnie dwa tysiące rubli.

— Na miłość boską, czyż tam w Karlsbadzie taka drożyzna?

— Nie, ale tu, w Warszawie... w „Fantazji...“

☆ ☆ ☆

Roztargniony.

Służąca. Niech sobie pan profesor wyobrazi, że temu staremu małżeństwu obok urodził się syn. Mąż ma przynajmniej 70 lat, a żona z 50!

Profesor. Na miłość boską, ileż lat ma zatem dziecko?

☆ ☆ ☆

Trudno doprawdy uwierzyć, ilu nie-miłych ludzi może się pomieścić na najmniejszej przestrzeni.

☆ ☆ ☆

Naganę można przyjąć od pierwszego lepszego, ale temu, od którego chcemy przyjąć pochwałę, należy się bliżej przyjrzeć.

☆ ☆ ☆

Ścisły sprawozdawca.

Redaktor. Trzeba było, mój panie, opisując stroje damskie na balu w ratuszu, puścić więcej wodze wyobraźni.

Reporter. Sądziłem, że najlepiej uczynię, trzymając się ściśle nagich faktów.

☆ ☆ ☆

Odpowiednia cytata.

— Cóż to, teściowa przybyła do pana w odwiedziny?

— Tak, spodziewamy się potomka.

— Aha!...

— Wielkie wypadki rzucają uprzednio swoje cienie.

☆ ☆ ☆

Wyjątki nie zawsze są świadectwem o starej regule: mogą też być pierwszym zasiewem nowej.

☆ ☆ ☆

Najtrudniej zerwać okowy złote.

Zwyciężaj, ale nie tryumfuj!

Pycha jest wadą plebejzowską.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Henryk Sienkiewicz: Pisma, nie objęte wydaniem zbiorowem. Tom II i III, Pisma młodociane.— Z chwilą, kiedy pisarz zdobędzie powszechne uznanie, kiedy wejdzie w ciało i krew społeczeństwa, zaczyna interesować nie tylko jako autor tej, lub owej znakomitej pracy, lecz jako cała indywidualność, jako typ umysłowy, którego wszystkie wytwory wiążą się z sobą, dając pełny obraz ewolucji duchowej artysty. Arcydzieła późniejszej epoki: „Trylogia“, „Quo vadis“, „Bez dogmatu“, „Krzyżacy“ etc., usunęły na drugi plan twórczość młodocianą Sienkiewicza, która jednak zasługuje na bliższe poznanie, nie tylko ze względów krytyczno-psychologicznych, lecz i ze względów artystycznych. Takie „Na marne“ np., o którym u nas zapomniano się zupełnie, obudziło zainteresowanie w Niemczech na długo przedtem, nim Sienkiewicz dobił się wszechświatowej sławy: przekład tej nowelki ukazał się w bibliotece Reclama, przed kilkunastu laty jeszcze, kiedy Sienkiewicza znano tylko w Polsce, nie zaś, jak dzisiaj, w całym świecie cywilizowanym. Z tych więc i innych względów

dobrze zrobił p. Stefan Demby, zbierając w jedną całość zapomniane utwory młodzieńczej muzy Sienkiewicza. Dotychczas wyszedł tom II („Na marne“) i III („Nikt nie jest prorokiem między swymi“, „Dwie drogi“). Tom I, mający zawrzeć kompletną bibliografię dzieł, przekładów i krytyk Sienkiewicza w opracowaniu wydawcy, który dał się już poznać jako sumienny pracownik na polu bibliografii, ma wyjść niezadługo. Szata typograficzna tego interesującego wydawnictwa przedstawia się okazale, chociaż książki drukowane były w Warszawie. Na szczególną uwagę zasługują winiety, trzymane w stylu zakopiańskim i odznaczające się wielką rozmaitością i zręcznym obrobieniem motywów; żadna z tych ozdób nie powtarza się dwa razy w wydawnictwie, którego całość ma objąć tomów pięć.

Horoskop, pamiętnik, ze skarbca poezji polskiej ułożony (w drugim powiększonym wydaniu) przez Wandę Żeleńską. Kraków, 1901.— Jest to pięknie wydane album, czy książka, zawierająca zbiór krótkich poezji polskich, wyrażających pew-

ne nastroje duszy i podanych, według wyrażenia autorki, na codzienny użytek w 365 urywkach, w ten sposób, że każdy dzień w roku ma wybrany odpowiedni dla siebie wiersz. Prócz tego każdy dzień w roku ma w „Horoskopie“ swą czystą kartkę, przeznaczoną do wpisywania na niej autografów osób znajomych, pod datą urodzenia. „Horoskopy“ są modne za granicą i mają zastąpić tak bardzo dawniej rozpowszechnione albumy, a są łatwiejsze w zastosowaniu, żądając zamiast aforizmu, myśli, wiersza, tylko prostego podpisu w odpowiednim miejscu. Zresztą można, jak powiada we wstępie autorka, uczynić z tego „Pamiętnika“ „kronikę spotkań i chwil przeżytych wspólnie, które się zaznaczyły wrażeniem pewnym“, a zatem książka może być użyta dowolnie. A że wybór poezji jest staranny, wydanie zaś „Horoskopu“, pięknie oprawne, bez zarzutu, możemy go więc polecić śmiało miłośnikom poezji i zbieraczom autografów i pamiątek, oraz jako odpowiedni podarek gwiazdkowy dla młodzieży płci obojej.

Józefa Ungra Kalendarz Warszawski popularno-naukowy ilustrowany na r. 1901 wyszedł z druku. Do zielonej okładki tego najstarszego w kraju naszym rocznika (LVI) przywykło już oko nasze, a treść jego urozmaicona stanowi ulubioną strawę duchową zarówno domów warszawskich, jak i oddalonych dworów i dworów wiejskich. Szata zewnętrzna „Kalendarza Ungra”, którego roczniki odznaczają się pewną ciągłością i nie odbiegają od dobrze pomyślanego pierwowzoru, uległa w r. b. pewnym ulepszeniom, szczególnie w starannym obecnie dziale ilustracyjnym. Na treść obfitą składają się: dział literacki w dwudziestu kilku nowelach, poezjach, artykułach znanych pisarzy, wiązanka rysunków, bilans i nekrologia za r. z. z portretami, wreszcie dokładny dział adresowy i informacyjny, taryfa m. Warszawy i przedmieść, jarmarki i t. p., oraz ogłoszenia prywatne.

Encyklopedyi Staropolskiej wyszedł świeżo nowy zeszyt, 5-ty już z rzędu, i obejmuje artykuły od *Brygidki* do *Cyna*, a w ich toku wiele ciekawych i ważnych wiadomości i rysunków, zwłaszcza w artykułach o budownictwie, buławach, bursach szkolnych, cechach, cenach (porównanych z wielu wieków), chlebie, chorągwiach, chrzcinach, cłach, emmentarzach polskich i t. d. Jest tu między innymi „łtok”, czyli oryginał pieczęci cechu złotników warszawskich z r. 1438, i melodia już od kilku wieków zapomniana i uważana za zaginioną „cenara”, najulubieńszego tańca polskiego w dobie Zygmunta.

Wiktor Hugo: *Kościół Najświętszej Panny Maryi w Paryżu* i *Pracownicy morza*.—Obie powyższe powieści, należące do najwybitniejszych dzieł autora francuskiego, wyszły nakładem księgarni S. Bukowieckiego w Warszawie. Cena przystępna bez wątpienia sprzyjać będzie rozpowszechnieniu tego wydawnictwa.

ODPOWIEDZI.

—

P. Kazimierz B. Wzmianka była w rubryce zmarłych.

Sz. P. R. H.

Nie będziesz chodził w światłości słońca.

Bo cię zwątpienie z wyżyn postręca.

Co Sz. Pani „miała na myśli, czy jedną myśl, czy cały szereg dowodzeń, które się sądzą niezbitemi” (nawiasem mówiąc, dowodzenie samo nie może się sądzić, może je ktoś sądzić)—to wszystko jedno, bo o tem nikt wiedzieć nie może; idzie o to, co Sz. Pani napisała, a ponieważ napisała Pani „cię (nie was) postręca”, czyli jedną jedyną rzecz, więc należało powiedzieć: *stręci*. Na to niema rady; każdy, kto przeczyta przytoczony wyżej dwuwiersz, uzna go za nie logiczny, a nawet niegramatyczny. Że zamiast *gorąco* (przysłówek) nie można używać *gorącą* (przymiotnik) nawet wtedy, kiedy następuje rym *wrzącą*—o tem sama Sz. Pani wie doskonale, i dlatego tak trudno Sz. Pani znaleźć odpowiedź. Co do innych kwestyi, to po pierwsze, cudzymi błędami nie można usprawiedliwiać własnych; po drugie: dowiedziecie—na świecie nie jest rymem częstochowskim, jak np. chciałem—miałem, chcieli—mieli; po trzecie: na koniec, utworom, odpowiadającym się doskonałą na ogół formą i bogatym w treść, można wybaczyc pewne usterki. Jeżeli jednak wiersz będzie banalny w treści i niedołężny w formie—to nie podobna traktować go poważnie.

Digamma. Mrugają, nie mrógają. Całość słaba; spojrzenie—wspomnienie, tonąca—lśniąca, to rymy banalne, częstochowskie.

E—r K—i. Nie.



Nr 53. KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nr 53,

BIURO BANKOWE

„GAZETY LOSOWANE”

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA

KRZYŻACY

HENRYKA SIENKIEWICZA

Powieść historyczna.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

4 tomy. Cena rub. 5, w oprawie rub. 6 kop. 60, przesyłka 50 kop.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA

JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA

JADWIGA WARKÓWNA

Z BIEGIEM WISŁY OBRAZKI O KRAJU

z 200 rysunkami w tekście i 2 mapami.

Wydanie ozdobne w większym formacie, stron 372, zawiera przystępnie opowiedziany opis kraju od źródeł Wisły aż do jej ujścia, typy ludowe, obrzędy i zabawy, podania, legendy, baśnie i powiastki, cudowne miejsca, miejscowości lecznicze, kopalnie i miejsca fabryczne i t. d.

Cena Rub. 135 W oprawie kartonowej Rub. 150, w ozdobnej oprawie płócienną Rub. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



PRACOWNIA

Haftów maszynowych i ręcznych

ROBOTY KOŚCIELNE, MONOGRAMY, APLIKACJE i t. d.

ORAZ

maszynowe znaczenie bielizny

N. KUCZYŃSKIEJ

Bractwa 8-14.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA W WARSZAWIE.

JULIUSZ KOSSAK

przez

STANISŁAWA WITKIEWICZA.

Dzieło ozdobione: 260 rysunkami w tekście, 8 światłodrukami, 6 facsimilami kolorowymi z akwarel i portretami podług L. Wyczółkowskiego i S. Witkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie w ozdobnej oprawie ze złoceniami rub. 10.

Wydanie wyjątkowe (édition de luxe), na zbytkownym papierze większego formatu, w ozdob. oprawie rub. 18.

NADESŁANE.



Dom Handlowy

Augustynowicz & Co.

poleca na nadchodzącą Gwiazdkę swoje największe w kraju składy

Zegarków i Zegarów

przy ulicy Hr. Berga Nr. 6

oraz jedyny wybór Bronzów francuskich na Podarki jako to:

Figury — Biusty — Statuetki — Kolumny etc. Towar realny — Piękny — Ceny niskie.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimska 49, róg Marszałkowskiej.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny salicylny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniając. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

ZAKŁAD CHIRURGICZNO-GINEKOLOGICZNY

D-ra REICHSTEINA

Warszawa, Leszno 31

przyjmuje z chorobami chirurgicznymi, ze skrzywieniami kręgosłupa, kończyn, chorobami stawów, mięśni i do masażu od g. 4—6. W Pracowni Ortopedycznej przy Zakładzie wyrabiają się przy udziale specjalistów: gorsety, przyrządy do kończyny (Schienen Hülsenapparaten Helsinga), sztuczne kończyny, wszelkie pasy rupturowe i brzuszne i t. d.

Świeże Trany

poleca Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Hand. Towarz. Aptecz.

dawniej Zjednoczeni Aptekarze i

Ludwik Spiess i Syn.

„GARDE-MEUBLES”

A. Wróblewski i S-ka

TRBACKA 3.

NOWY-ŚWIAT 12.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie, z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyjnej, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Доводимо пензурою, Варшава, 7 Ноября 1900 года.